Nr. 11. Kraków, Sobota dnia 14 Stycznia 1899. Rok VII.

PRZEDPŁATA
w Krakowie:
rocznie zlr. 16·
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
za odnoszenie —·20
Na prowincji:
rocznie zlr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicą:
w Niemczech miesięcznie 2 zlr., w innych krajach Europy zl. 2.20
Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny i Czwartkowy 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, o godzinie 10 zrana.

OGŁOSZENIA
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
Wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocniony
Jan Strycharski.
Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmiana adresu 20 ct.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ulica Garbarska Nr. 7.
Telefon Redakcji Nr. 309.

ZAŁOŻYCIEL: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Biuro inseratowe:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

Groźby wojenne Anglji.

Po tak świetnem, dyplomatycznem zwycięstwie, jakie Anglja odniosła nad Francją w kwestji zatargu o Faszodę, zdawało się, że zbrojenia angielskie stały się niepotrzebnemi i że rząd i społeczeństwo angielskie zadowolnią się tryumfem w sprawie zasadniczej, tryumfem, który odniesionym został tylko dzięki ubezwładnieniu Francji przez kwestję Dreyfusa. Zwycięstwo Anglji, która je zawdzięczała przemocy silniejszego, nie swemu lepszemu prawu — bo tam mogło chyba tylko wchodzić w rachubę *ius primi possidentis*, a to służyło przypadkowo Francji — było bardzo zasadniczem, bo krzyżując na zawsze plan francuski połączenia posiadłości francuskich nad Morzem Czerwonem z posiadłościami w Afryce środkowej i nad Oceanem Atlantyckim, zrealizowało na odwrót szczęśliwie dawne dążenie Anglji do utworzenia nieprzerwanego pasma posiadłości angielskich od Kairu i Aleksandrji aż do Kapsztadu i południowego przylądka Afryki.

Tymczasem Anglja widocznie nie zadowalnia się tym sukcesem i z wyrachowaną brutalnością występuje przeciw francuskim interesom kolonjalnym we wszystkich prawie częściach świata. Zaledwie bowiem opinja publiczna uspokoiła się nieco z obu stron kanału La Manche, zaledwie prasa obustronna łagodniejszy przybrała ton i zaczęła nawoływać rządy odnośne do umiarkowania i zgody na podstawie wzajemnych ustępstw, gdy rząd angielski nowych sobie poszukał pretekstów, aby podrażnić honor narodowy francuski i rozognić na nowo opinję publiczną społeczeństwa angielskiego. I tak najprzód w Szangaju uzyskał był pełnomocnik francuski od rządu chińskiego drobną koncesję, która rzeczowo bynajmniej się nie sprzeciwiała interesom angielskim. Tymczasem Anglja w połączeniu z posłem Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki zaprotestowała przeciw tej koncesji w Pekinie, a skutek protestu był ten, że rząd chiński koncesję cofnął. Wystąpiła tutaj po raz pierwszy wspólna akcja Anglji i Stanów Zjednoczonych, jako pierwszy dotykalny owoc umizgów Albionu do swej młodszej siostrzycy Nowego Świata; we Francji zaś bardzo przykre zrobił wrażenie ten krok nieprzyjazny ze strony Ameryki wobec tradycyjnej przyjaźni, jaka łączyła obie republiki od dni Waszyngtona, który krwią głównie francuską okupił wolność swej ojczyzny.

Następnie dała Anglja uczuć Francji swą przewagę wojenno-morską w zatargu o prawo rybołóstwa u wybrzeży Nowej Fundlandji. Były to jednak wszystko kwestje i zatargi mniejszej wagi, niezdolne same przez się poważnego wywołać konfliktu między obu mocarstwami. Ale dumny i zachłanny Albion uwziął się na nękanie Francji przy każdej nadarzającej się sposobności. W chwili, kiedy rząd francuski wobec bierności swego rosyjskiego sojusznika nawet zbyt wielką okazywał uległość, kiedy nawet prasa francuska do względnej się przymuszała powściągliwości, aby kraju nie narażać lekkomyślnie na nieobliczalne niebezpieczeństwa, i kiedy opinja publiczna angielska zupełnie już się czuła zadowoloną, rząd angielski rzucił nowy grom z pogodnego napozór nieba w postaci ogłoszenia księgi niebieskiej o Madagaskarze, która zawiera otwarte groźby wojenne skierowane pod adresem Francji, i która na nowo rozbudziła namiętności narodowe w obu państwach. Księga niebieska, opublikowana świeżo przez rząd angielski, wyrzuca Francuzom różne zbrodnie i grzechy, jakich się po aneksji Madagaskaru rzekomo dopuścili przez ograniczenia handlu angielskiego i popieranie kolonizacji i handlu francuskiego. Dziwne zaiste pretensje ma ten rząd angielski! Francuska kolonizacja i wpływ na Madagaskarze datują się już od drugiej połowy XVII wieku z czasów panowania Ludwika XIV., kiedy Polak Beniowski pod protektoratem Francji uzyskał godność króla na tej wyspie. Przed czterema laty, kiedy intrygi i pieniądze angielskie zmusiły Francję do nadania swym wpływom na Madagaskarze stałej postaci, początkowo w formie protektoratu, a później wskutek wybuchu nowego powstania w formie aneksji, poświęciła Francja życie 7000 żołnierzy chyba nie na to, ażeby potem Anglja stąd ciągnęła korzyści! Więc Anglja żąda, ażeby Francja na Madagaskarze popierała raczej kolonizację i handel angielski, ale koszta i ofiary pacyfikacji ciągle się buntującej i klimatem swym zabójczo na Europejczyków działającej wyspy, pozostawia wspaniałomyślnie Francji!

Trudno istotnie przypuścić, ażeby Anglji chodziło o to, co w księdze niebieskiej Francuzom wyrzuca. Zdaje się raczej, że w postępowaniu Anglji rozchodzi się raczej o dalej idące ogólne plany. Oczyściwszy Sudan egipski z wojsk Mahdiego aż prawie do źródeł Nilu, Anglja przygotowuje prawdopodobnie proklamację definitywną swego protektoratu nad Egiptem i całą doliną Nilu. W zasadzie orzekł takową już — przynajmniej co do świeżo podbitego Sudanu t. zw. egipskiego — lord Cromer, ogłaszając nad nim zwierzchnictwo wspólne królowej angielskiej i kedywa Egiptu. Ponieważ zaś trudno przypuścić, ażeby Francja, dla której kwestja egipska jest kwestją pierwszorzędnej wagi, bez kompensat uznała formalne i definitywne panowanie Anglji w całej dolinie Nilu, więc Anglja systematycznemi zbrojeniami chce być przygotowaną na ewentualne wymuszenie uznania swego protektoratu, a chcąc zbrojenia upozorować koniecznością, drażni Francję i zarzuca jej różne wrogie względem siebie czynności. Przytem Anglji chodzi także o wybadanie, jak daleko może się posunąć z groźbami wobec Francji — nie narażając się Rosji...

Dotąd Francja nie doznała wprawdzie poparcia od swego sojusznika, ale inna rzecz, coby Rosja powiedziała na ogłoszenie protektoratu angielskiego nad Egiptem i jakieby stanowisko zajęła w razie wybuchu wojennego konfliktu między Francją a Anglją. Niemieckie dzienniki dowiadują się z Petersburga, że nadzwyczajny wysłaniec i mąż zaufania rządu francuskiego świeżo był przyjmowany przez cara i rządowe osobistości rosyjskie, właśnie w sprawie zuchwałej postawy rządu angielskiego. Mianowicie miał się on dokładnie wywiedzieć, jakie stanowisko w tym względzie zamierza zająć rząd rosyjski, i zwrócić uwagę cara na to, że w razie ciągłego ponawiania się takich klęsk dyplomacji francuskiej, jak w sprawie Faszody, rząd francuski w najprzykrzejszem znajdzie się położeniu tak co do swej polityki tak zagranicznej, jak wewnętrznej. Nam się zdaje, że mimowolny wzgląd na Rosję, która we własnym interesie nie mogłaby dopuścić do powalenia Francji przez Anglję, wstrzyma zachłanny Albion od wywołania konfliktu, bo Anglja wie, co dla niej znaczy wojna z Rosją, zwłaszcza dziś, gdy kolej transkaspijska dochodzi już prawie do granicy Afganistanu, gdy sieć kolei kaukaskich jest znacznie rozszerzona, a w Centralnej Azji jak i na granicy azjatyckiej Turcji wielkie masy wojsk rosyjskich stoją w pogotowiu...

Loterja liczbowa.

Loterja liczbowa jest bez zaprzeczenia jednym z najbardziej poważnych dochodów skarbu państwa austrjackiego. Gdy wszakże inne działy skarbowości obsługiwane są przez niezliczoną liczbę przyzwoitych urzędników, ta część dochodów, oparta na niewątpliwie najliczniejszym udziale poddanych ze wszystkich sfer, nie cieszy się należytą obsługą, owszem jest administrowaną — i to właśnie u źródła swego — przez tak niegodne osobistości, że jestto krzyczącą anomalią i powodem słusznego sarkania interesantów.

Komukolwiek zdarzyło się widywać lokale przeznaczone na c. k. biura loteryjne, ten zastanawiał się pewno nad niechlujnością i wstrętnym ich wyglądem. Podobniejsze są one raczej do jam, albo jaskiń łotrowskich niż do biur urzędowych w kraju cywilizowanym, obsadzone są na domiar złego „pająkami“, wysysającymi — jak wszędzie, tak i tu — krew swoich ofiar w sposób jawny i bezczelny, w sposób, który spotkany przez władzę gdzieindziej, zakwalifikowałby wyzyskiwacza do kryminału, a tu jest tolerowany, omal nie ochraniany. *Roma locuta, causa finita:* numer wyszedł — pieniądze do odebrania! — takby się przynajmniej zdawało...

Ale jak Rzym bezsilny jest wobec Zjednoczonych Włoch, tak przepisy władzy ignorowane są przez skonsolidowane na zgubę Galicji żydostwo. Jak wszędzie, tak i w tej sprawie wyrasta nieproszony faktor-pośrednik i w oczach zdumionego interesanta wynajduje pretekst zapukania do jego kieszeni — ba! — wdarcia się przemocą do niej i, *nolens volens:* — ty, człowiek wolny, znajdujący się pod opieką władz, występujący ze słuszną pretensją — składasz haracz od najmizerniejszego nawet uśmiechu fortuny, dajesz okup nowożytnemu piratowi, ulegając jakiemuś niczem nieusprawiedliwionemu prawu zwyczajowemu. A zechciejno tylko powołać się na ustawy! Doświadczysz wkrótce wszechwładztwa aroganckiej rasy, przekonasz się również ze zdumieniem, że tych ustaw, które zabezpieczają prawa graczy lub wygrywających niema kto popierać. Gdy wreszcie po długiem szukaniu, dowiadywaniu się, odsyłaniu z biura do biura — znajdziesz nakoniec władzę, oddział i osobę, którym poruczono przestrzeganie przepisów i karcenie nadużyć, — gdy wniesiesz najformalniejsze zażalenie, to... po załatwieniu tego, możesz czekać tygodnie i miesiące, nim odnośny urząd raczy przesłuchać winowajcę, aby sprawdzić wiarogodność twego doniesienia!... Dawna rutyna: „*Wir können warten*“... jeszcze nie zamarła. Trwa ona i prześladuje wszelką działalność, wszelki postęp, wszelkie dążenie do reform. A zakulisowa działalność „pająków“ po kolekturach loteryjnych tak potrzebuje reformy! Wszakże to jest dobrowolny podatek, nakładany na ludność przez nią samą, przez jej żądze.

Moraliści wytykają błąd gry... Alež to błąd tak stary, jak ludzkość! Nie w grze tkwi złe, ale w okolicznościach. Nie ten zasługuje na naganę, co postawił raz i drugi kilka centów, ale ten, co gdy los się pierwszemu uśmiechnie i pozwoli mu wygrać cośkolwiek — obciąga na swoją korzyść, by najdrobniejszą kwotę pod pozorem jakiejś usługi, fatygi, grzeczności ze swojej strony. Znieść loterję! — To za słabe lekarstwo. — W miejsce jednej formy gry, powstanie druga, bo tak bywa zawsze i wszędzie. Teraz robotnik lub t. p. rujnuje się na 5—10—15 ct. w ciągu tygodnia i za tę cenę kupuje sobie trochę złotych snów na dni kilka. Później — na los trzeba wydać guldena lub więcej. — Znieść losy! — A zagranica? — Mamy przykład na Królestwie Polskiem, ile tam — z powodu niewystarczającej liczby losów jedynej warszawskiej klasycznej loterji — jest tajnych kolektorów (naturalnie żydów) zagranicznych loteryj. Nie tędy więc droga do polepszenia złego, jakie tkwi w loterji. Silne przestrzeganie prawa ze ze strony rządu, należyte — srogie bodaj! — karcenie nadużyć, wybieranie na kollektorów jedynie godnych zaufania osobistości, stale określone terminy wypłaty wygranych! Dalej — trochę cierpliwości u graczów. Nie odbierać wygranych natychmiast, nie korzystać z drogo opłacanej przysługi, zdawać sobie jasno sprawę z praw swoich i nie wahać się zamanifestować odwagi cywilnej w upomnieniu się o swoją należytość. Cóżby powiedział jeden i drugi, gdyby taki *chevalier d' industrie* sięgnął do jego kieszeni? —

M

Krzyknąłby: „wara!“ — A czemu to ten sam czyn w innej, nawet mało różnej formie praktykowany, po kollekturach nie wywołuje tego samego okrzyku? Dadzą się strzydz barany z godną lepszej sprawy cierpliwością. Kiedy w tylu miejscach spotyka się pozastawiane pułapki na dobroczynność ludzką: w kościołach, sklepach, instytucjach, urzędach i t. p. w formie skarbon, puszek, glinianek, odezw itd. — to jedne tylko nory „pająków“ loteryjnych wolne są od tego. A przecież tu właśnie wisieć powinny skarbony, aby szczęśliwcy folgując współczuciu, (jakie budzi się zazwyczaj w człowieku, gdy mu się coś powiedzie) mogli rzucać okruchy szczęścia swego na dobro ubogich bliźnich. Ale delikatny rozum Izraela postarał się usunąć z przed oblicza graczów takie brzydkie przedmioty jak skarbonki. Poco komu przypominać, że są bardziej potrzebujący kilkunastu centów jak pejsaty żyd-kollektor, właściciel kaucji loteryjnej, czerpiący dochody z procentów od stawek, często i dzierżawca trafiki, a jeszcze wyciągający dłoń po istną jałmużnę z tą tylko różnicą, że nie daną ale wydartą. — Nic smutniejszego dalej, jak te usługi dzieci katolickich do pisania po kantorach. Ale i starzy czepiają się tej pracy żmudnej, dla łatwego zarobku i z czasem solidaryzują się z żydami w wyzyskiwaniu swych bliźnich katolickich.

A przecież mają ludzie kapitały i mogliby je poświęcić na dzierżawę kollektur. Starzy emeryci, zdolni jeszcze i pełni sił, zadzierżawiwszy taką kollekturę, znaleźliby trochę zajęcia, dobre zabezpieczenie kapitału i chyba niezłe wynagrodzenie swych trudów, o czem przekonywa dostatecznie zupełne opanowanie tych dochodów przez żydów. A i przysługa dla bliźnich niemała i walka zaszczytna w obronie tego grosza, którego niemamy za wiele i możność słania pomocy ubogiej młodzieży przez trochę starań pod uczciwem przewodnictwem. Ale też inaczej muszą być urządzone te izby. Wszakże to przybytki szczęścia i różowych nadziei... czemuż nie mają wyglądać — jeśli nie ozdobnie — to przynajmniej znośnie. Jedna i druga skarbonka powoła do ofiarności i tych co dopiero szukają szczęścia i tych, co już go znaleźli. Grosz pójdzie na „Towarzystwo dobroczynności“, na „Zakład brata Alberta“, na „Wawel“ i „Szkołę polską w Białej“; nie utonie w bezdennym hałacie, nie wzbogaci towarzystwa „Alliance israelite universelle“, nie przyczyni się do zguby naszej, ale owszem, — gdy dziesięć—sto, groszy jest przez grę utraconych na zawsze z biednego kraju naszego- — jeden i drugi zostanie na osłodę tej biedy, wstrzymany przez chwilowy a szlachetny poryw.

Pomyślcie o tem panowie, którzy bezczynnie siedzicie na listach zastawnych, a obcinając kupony, marzycie jedynie o powiększeniu ich liczby. Pomyślcie o tem wy, którzy możecie coś uczynić, albowiem źle z nami i każda najmizerniejsza na pozór placówka, wydarta nieprzyjacielowi, staje się twierdzą walczącemu szczerze o prawo i byt swój społeczeństwu.

A teraz cyfr nieco na poparcie powyższych uwag. Nie sposób wprawdzie wyłuszczyć rzeczy dokładnie, w pobieżnem traktowaniu tak powikłanego przedmiotu jak obliczenie szans loteryjnych; o tem informują taryfy, które — niby święte księgi zakonu — rzadko są publiczności okazywane. Powiem jedynie, że gdy za kwotę 10 ct uda się komuś trafić dwa numera, t. zw. „ambo“ w rządku pięciu cyfr stawionych i ciągnionych, to stawkę dwudziestoczterokrotnie pomnożoną wypłaca skarb loteryjny po odtrąceniu 15%, co czyni 2 złr. 4 ct. i tę sumę wygrywający ma prawo podjąć. Kollektor wszakże redukuje należność do 1 złr. 80 ct. pod pozorem, że pieniądze jeszcze nie nadeszły, ale on robi „wigodę“ za marne 24 ct.! — Proszę się teraz zastanowić, jak to wygląda w stosunku procentowym — a trafiają się nierównie większe nadużycia.

Skarb państwa, od czasu puszczenia w ruch tej machiny podatkowej, zebrał już przeszło miliard złr., z czego 400 z górą miljonów wypłacił w formie wygranych.

Przypuściwszy, że tylko 10% wynosiło zdzierstwo pośredników, to uczyni 40,000.000 złr. za wiek niespełna. (Loterja wynalezioną została 1620 r. przez Włocha nazw. Benedetto Gentili; ale znacznie później wprowadzono ją w użycie). Sumę, którą nie pogardziłoby żadne mocarstwo, zagarnęli pośrednicy między rządem a graczami: kollektorzy loteryjni! A o ileż wzrośnie ona od czasu ostatnich wykazów statystycznych urzędu loteryjnego, — o ile wzrośnie przez niewykryte, a tak liczne szalbierstwa? — Proszę się jeszcze raz zastanowić, jaką to siłę wypuszcza się dobrowolnie z rąk, mogąc ją zatrzymać w zupełnie naturalny i prawy sposób: po prostu nie dawać żadnych datków kollektorom, którzy przecież pobierają specjalne wynagrodzenie od rządu, a przeciwnie przeznaczać bodaj połowę teraz praktykowanych odtrąceń na jaki fundusz użyteczności publicznej. Celów nie braknie — idzie jedynie o powołanie do życia instytucji prywatnej lub rządowej, któraby wzięła na siebie trud wypłaty wygranych z zupełnem odseparowaniem od tego kollektorów. *A. W.*

Uwagi o kwestji ludowej.

V. Tak wiele mówi się i pisze u nas o szerzeniu oświaty wśród ludu a pomimo to, nietylko co do sposobu nauczania, ale i co do samego ludu, który się ma pouczać, często jak najsprzeczniejsze w wyższych sferach panują pojęcia. Dotychczas brak nawet jasno wytkniętego celu, jaki się przez oświatę osiągnąć zamierza i temu też należy przypisać nietylko zupełnie chybiony system nauczania — ale i tę oporność, a przynajmniej bierne zachowanie się przeważnej części ludności wobec ustanowionych instytucyj (szkoły, czytelnie, Kółka rolnicze) zmierzających do rozszerzania zakresu wiedzy.

Dziwić się nieraz wypada łatwości, z jaką niektórzy ludowi życzliwi i starający się o rozszerzenie ludowego zakresu wiedzy — używają podobnych krasomówczych zwrotów: „ciemny lud“; a na poparcie tego zbyt śmiałego i ogólnikowego twierdzenia, cytują liczbę analfabetów. Podobne słowa w ustach tych, którzy stykają się z ludem, by poznać jego dolę, ofiarując mu zarazem swe usługi, krzywdzą nietylko w wysokim stopniu sławę ludu, ale wręcz mu szkodzą wobec sfer rządzących. Utwierdzają bowiem te sfery w mniemaniu o zupełnej niedojrzałości politycznej ludu i tem samem muszą tylko opóźniać wszelkie słuszne, a już na czasie będące reformy społeczne. Przytaczanie liczby analfabetów, jedynie aby wykazać niski poziom oświaty, wydaje się być tak samo uzasadnionem — jak gdyby ktoś zarzucał juryście nieznajomość obcych języków i całego bogactwa obcej literatury jurydycznej i z tego powodu zarzucał mu ciemnotę.

Zupełnie mylnem jest bowiem przypuszczenie, jakoby jedynie przez czytanie możliwem było rozszerzyć swą wiedzę; przemawia bowiem przeciw temu tak bardzo rozpowszechniony system popularnych wykładów dla warstw średnich. Lud podobnież jakkolwiek nie umiejący czytać, czerpie swą wiedzę w szkole praktyki życiowej i przez obcowanie z jednostkami o wyższem wykształceniu. Oświata szerzy się przez żywe słowo — być może, iż zbyt jednostronnie, iż w niewłaściwym kierunku, ale postąpiła pomiędzy ludem już tak wysoko, iż zakres przystępnych dla ludu pojęć wznosi go na te wyżyny, gdzie nie ciemnota, ale światło uświadomionego ducha panuje.

Lud nasz jakkolwiek opiekunowie jego dotychczas nic — albo zbyt mało dla oświecenia go uczynili, sam wyrabiał swe władze umysłowe i dla tego nie ciemnym, ale samoukiem nazywać go wypada. Samoukiem o wrodzonej wysokiej inteligencji, czyniącym zaszczyt społeczeństwu, do którego należy, gdyż świadczącym o niespożytej swojej sile wewnętrznej.

Przyznać należy, iż kierunek jednostronny, w jakim wyrobiły się poglądy na sprawy publiczne, a w dalszem następstwie polityczne tendencje ludu, nie mogą być dodatnim czynnikiem normalnego rozwoju obecnego ustroju społecznego; przyznać także trzeba, że w niejednym kierunku powinno to uledz modyfikacji w własnym dobrze zrozumianym interesie ludu

Muszkieterowie Króla Jegomości.

ROMANS HISTORYCZNY

osnuty na tle pierwszej połowy XVIII-go wieku

188) przez

Michała Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Co prawda, intrygantka grała komedję po mistrzowsku, tak dalece, że niepodobna ją było o fałsz posądzić.

Friede wywiązywał się z powierzonego mu zadania jak nie można było lepiej. Słuchając rad i wskazówek Kapturowskiego, za pomocą środków narkotycznych, utrzymywał swego pacjenta w stanie apatycznym do działania samodzielnego niezdolnym. Żeby chorążego przewieść do klasztoru, trzeba go było uśpić; od tego czasu nieszczęśliwy starzec pozostawał jakoby w pół śnie, jakoby w letargicznem odrętwieniu. Patrzył na wszystko, co się dokoła niego działo, w milczeniu, obojętnie, niezrozumiałe i bez związku słowa mruczał, pozwalał katom swoim robić z sobą, co im się podoba. Twarz jego miała wyraz posępny, odbijało się na niej zaniepokojenie jakieś, obawa, przestrach. Często marszczył czoło, dłonią po niem przesuwał, jak gdyby usiłując sobie coś przypomnieć; to znów rękę do góry podnosił taki gest czyniąc, jak gdyby kogoś przywoływał; czasem o poręcz fotelu się wspierał, jakby wstać zamierzając: ale osłabienie w miejscu go trzymało. Może umysł jego kombinował logicznie, może w jego organizmie duchowym znajdowała się wola i świadomość, — ale wszystko to było skrępowane, znajdowało się w znieczuleniu — zadawane narkotyki nie pozwalały woli onej i świadomości ujawniać się na zewnątrz.

Słowem Kapturowski kierował interesem pani Barbary, a szczerzej mówiąc — swoim, z biegłością nadzwyczajną i pomyślnie, ale z niej samej wielce był niezadowolonym. Od pewnego czasu zauważył u niej silne rozdrażnienie, które z dniem każdym zdawało się wzrastać. Słuchała go wprawdzie we wszystkiem, ale rozmówić się z nią jak należy nie mógł; gdy chciał jej coś obszerniej przedstawić i wymotywować, zbywała go krótko a nawet szorstko. „Czyń jak chcesz“, lub „a daj mi waćpan pokój“; — tak mu odpowiadała najczęściej. Tłomaczyła się migreną i przepraszała poznawszy, że mu nazbyt dobodła, ale mimo to regent w duchu przyznawał, że staje się coraz nieznośniejszą.

Domyślał się palestrant, z czego pochodzi rozdrażnienie owo, wiedział, że powodem było zerwanie z Czarbanem, ale chociaż był wielce wyrozumiałym, zaczynał się już niecierpliwić. — Trwały te fochy za długo i nie były w miejscu.

— Jeśli babinka myśli, że jej pozwolę i potem takie fimfy sobie pod nos puszczać, to się, ojcze święty, bardzo myli — mówił do siebie. — Wszystkiemu miara, nawet... migrenie. — Cóż to ona myśli, — że na palcach będę przed nią skakał i fanaberje znosił? — Ano, cierpliwości, panie Bartłomieju. *Nemo sapiens, nisi patiens...*

Pani Barbarze rzeczywiście myśl o Czarbanie spokoju nie dawała. Zerwanie z nim było dla niej ciosem strasznym, a po za tem jeszcze gnębiły ją przypuszczenia i domysły. Porzucił ją z taką obojętnością, bez najmniejszego żalu, owszem — skwapliwie nawet.... To postąpienie kochanka bolało ją i trapiło niewypowiedzianie. — Postanowiła się zemścić i nieomylnie tego dokona, ale jak? Środków nie znachodziła pod ręką, była skrępowana właśnie przez tego, na kim zemstę swoją wywrzeć chciała.

Z klasztoru do miasta wychodziła bardzo rzadko, bo wszystko jej zbrzydło, wszystko drażniło i gniew tłumiony w głębi duszy podsycało. Licznych swoich znajomych unikała, bo zdawało jej się, że cały świat wie, iż nią kochanek pogardził i porzucił ją. To też gdy razu pewnego spotkała na ulicy Bellachini, chciała ją zbyć wężłowato, ale stara kokieta przyczepiła się do niej jak pijawka.

— Jesteś w Warszawie, najdroższa perełko... — trzepała jak zwykle. — A mówiono mi, żeś wyjechała. Jacy to z ludzi plotkarze... Ale to do rzeczy nie należy... — Zmartwiłam się bardzo, nie przypuszczałam, abyś mogła, klejnociku, wyjechać bez pożegnania się ze mną, najlepszą twoją przyjaciółką... Domyślam się, że zmieniłaś tylko mieszkanie, ale dla czego nie zawiadomiłaś mnie o tem? Gdzież się teraz ulokowałaś?

Pani Barbara znalazła się w kłopocie — niepodobna było przecież zawiadamiać plotkarki o miejscu pobytu. — Rzekła tedy obojętnie:

— Powiedziano ci prawdę, Floro, wyjechałam, a jeżeli teraz tu jestem, to dla tego, że sprowadziły mnie interesy... Zabawię bardzo krótko, bo chorąży bez mojej opieki pozostawać nie może.

— Co za wzorowa, co za idealna z ciebie małżonka, Różyczko! Co za serce! Więc interesy? A! wiem, wiem, prowadzi je Kapturowski. Dobrześ trafiła, kanareczko, nie ma nad niego zdolniejszego jurysty. Na nim się nie zawiedziesz, tembardziej... — tu plotkarka zerknęła na przyjaciółkę i dokończyła znacząco: — tembardziej, że wziął on twoje interesy do serca gorąco. Ale to do rzeczy nie należy... Gdzie jednak mieszkasz, cukiereczku? Możebyśmy wstąpiły do ciebie... — Jestem, przyznam ci się, zmęczoną i prawie na czczo... A może pójdziemy do mnie? — Tak dawno cię nie widziałam, żem się stęskniła doprawdy... — A mam tyle do pomówienia z tobą...

Pani Barbara w pierwszej chwili miała zamiar odmówić i pozbyć się natrętnej przyjaciółki, lecz przyszło jej na myśl, że się może od niej coś o Czarbanie dowiedzieć i to ją skłoniło, do przyjęcia zaproszenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

i warstw innych, dla uniknięcia starć, połączonych z niepowetowaną szkodą dla cywilizacji.

Powinno przeto być zadaniem czynników, które obecnie chcą stanowić o kierunku wychowania publicznego, aby w pierwszym rzędzie zaopiekowały się umysłem ludu i przez dodatni wpływ oddziaływały na zmianę jednostronnych pojęć tak, iżby lud sam przyszedł do uznania konieczności ograniczenia woli jednostek lub grup dla celów ogólnych. Przez wzgląd, iż się ma do czynienia z uczniem o bardzo żywej wyobraźni, nadto posiadającym wielki dar spostrzegawczy, jako też nieufność do wszystkiego, co z góry przychodzi, a największej zarozumiałości i wiary w nieomylność własnych urojeń, co wszystko jest koniecznem następstwem nieograniczonej nauką wolności myślenia — trzeba być przygotowanym na wielkie zrazu trudności.

Trudności te nie powinny jednakowoż nikogo odstraszać, gdyż są one tylko koniecznem następstwem tyloletniego zaniedbania pracy około właściwego, do wzajemnego zgodnego pożycia koniecznego, kształcenia władz umysłowych ludu. Ze względu na spóźnioną dobę, cała bardziej oświecona część społeczeństwa powinna chętnie udzielać pomocy, by jak najprędzej wyrobić z ludu obywateli uznających korzyści wzajemnego zgodnego pożycia i chętnych do pracy nad postępem cywilizacji. Nie należy się bynajmniej obawiać zdemokratyzowania społeczeństwa w znaczeniu ujemnem, gdyż arystokracja ducha w każdem ucywilizowanem społeczeństwie przednie stanowisko zajmować musi, a zajmie tem szczytniejsze, im bardziej się rozpowszechni uznanie potrzeby umysłowego kształcenia się, dla rozszerzenia ogólnej wiedzy, pomimo zawodowego zajęcia.

Podawanie już obecnie ścisłego programu, zmierzającego do zaopiekowania się wykształceniem ludu, jako też tworzenia centrów oświaty dla dorosłych, byłoby przedwczesnem, tem bardziej, iż za pierwszy warunek musi się uważać okoliczność, aby myśl przeciwdziałania szkodliwej agitacji przez właściwą oświatę, zastąpiła dotychczasowy system represyjny. System ten jakkolwiek chwilowo może odnieść pewne rezultaty, w skutkach swych jednakowoż będzie najzgubniejszy, przyczyni się bowiem do tem szybszego wybuchu tłumionych namiętności i to z żywiołową potęgą.

Jak źle jeszcze jest zrozumianem w naszem społeczeństwie doniosłe znaczenie prawdziwej oświaty dla ludu, najlepszym dowodem jest nie tylko zupełny zastój w rozwoju szkolnictwa ludowego — które wyłącznie ogranicza się do nauki poznawania pierwszych elementów — ale i zupełny brak popularnego dziennikarstwa, któreby stojąc na stanowisku niezależnem, bez tendencyj jednostronnych starało się pouczać o istniejących dodatnich stronach obecnego ustroju, jakoteż podawać: jak w godziwy sposób należy dążyć do reform. Jasnem jest, iż podobne dziennikarstwo wobec politycznego roznamiętnienia ludu, bez ofiar utrzymać nie byłoby się w stanie i że w krótkim czasie widomych owoców wydać nie może: praca bowiem nad podniesieniem moralnego poziomu i uspokojeniem politycznych namiętności szybkim nie postępuje krokiem. Nie wolno identyfikować tego projektu z pojawiającemi się sporadycznie pisemkami ludowemi, które już w samem założeniu, będąc obliczone na usługi pewnych koterji, pod ułudną maską życzliwości, chciałyby obrabiać opinję ludu po myśli wydawców. Lud nasz posiada już nadto trzeźwy umysł, aby się na podobnej nieszczerości nie poznał i tem samem pisemka te raz zdemaskowane, muszą kończyć swój żywot jeśli wydawcy nie chcą tracić grosza na darmo.

Jeżeli dotychczas tak mało uczyniło się dla oświaty ludu, to obecnie należy z największą energją wziąć się do dzieła, nieszczędząc ani trudów ani kosztów. Jedynie bowiem oświata może oddać ludzkości prawdziwie trwałe usługi i skutecznej bronić wszelkich zdobyczy cywilizacji, aniżeli represyjna siła, która nic nie pomoże dopóty, dopóki lud nieprzyjdzie do poznania, gdzie właściwe źródło cywilizacji leży.

Witold Kotkowski.

Mickiewicz i kwestja żydowska.

Pewien rabin, w Talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy,
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:
— „Daruj woła — mądremu nie godzi się gniewać,
„O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać“.
— „Krew za krew — wrzasnął rabin — Belìala płodzie!
„Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
„Mrówki mają spichlerze, pracowite roje
„Znoszą miody i woski, a trucień napoje;
„Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
„Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz“.
Zakończył i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając pisnęła: „A czem żyje rabi?“

I. Nie takie dawne to czasy, kiedy była moda na „asymilację“ żydowską. Pozostały z niej dwa szumne terminy: „dzieci jednej ziemi“ i „Polacy mojżeszowego wyznania“. I dziś są one jeszcze w użyciu, jak stara, dobrze wytarta moneta, która przecież dość długo w obiegu się znajduje, mimo, że ją niechętnie przyjmują.

„Uspołecznienie żydów!“ Miły Boże, komu ta mrzonka do głowy nie przychodziła! Ile przez nią budziło się bałamutnych pojęć, ile ona szkody społeczeństwu przyniosła i jak dotąd jeszcze tkwi ćwiekiem w mózgach, w których... „myśl nie trwa nawet i godziny“. Naturalnie, mowa tu o asymilatorach-ideologach działających z dobrą wiarą; inni bowiem, z takich, czy owakich powodów, a zawsze dla osobistej korzyści, deklamując o zbrataniu się z „dziećmi jednej ziemi“ — byli, są i będą narzędziami żydów. Fakty zaś stwierdzają, że inteligencja żydowska, ta, która zewnętrznie przedstawia pozory uspołecznienia, nadzwyczaj pożąda, aby mrzonka asymilacyjna była wciąż rozszerzaną.

I nic dziwnego. Przy wrodzonej charakterowi naszemu dobroduszności, usypia się czujność i tłumi się poczucie samoobrony. A gdy, obok innych dowodów, czem są i dokąd dążą żydzi, ujawnił się taki n. p. trzeźwiący filosemitów dokument, jak owa słynna odezwa *Alliance israelite* do „Polaków mojżeszowych“, wśród ich służalców budził się istotny niepokój...

Lecz co się tu dłużej rozwodzić. Mrzonka o asymilacji żydów, nie jako rasy, ale jako wyznawców Talmudu, a tem samem wrogów moralności chrześcijańskiej — bankrutuje nietylko u nas, ale i w innych społeczeństwach, wśród których żyd dawno się uspołecznił zewnętrznie.

— A jednak nie mogę się pogodzić z myślą o bezwzględnem potępieniu żydów, którzy przecież nieraz dawali dowody, że są „dziećmi jednej ziemi“ — twierdził jakiś ideolog filosemicki.

— Bo wszakże — ciągnął dalej — taki genjusz, jakim był Mickiewicz, chyba nie wyłącznie z fantazji, lecz i z rzeczywistości, wysnuł postać sympatycznego Jankla, który pozostanie wiecznotrwałym typem polskiego żyda.

Ach! Jankiel! „Było cymbalistów wielu, Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu...“

Nietylko filosemici, lecz i sami żydzi, ileż razy owego „cymbalistę karczmarza“ na widownię wyprowadzali i dotąd wyprowadzają! Toć nie tak dawno, jeden z galicyjskich organów semickich, podając sprawę z procesu mordercy Färbera, skazanego za zabójstwo spełnione na góralu, który przeszkadzał lichwiarzowi-szynkarzowi spełniać oszukańcze nadużycia, pisał: „siwowłosy ten starzec (morderca Färber) postawą swą przypominał Jankla z „Pana Tadeusza“... *(Kurjer lwowski?)*

Nie nowina, że Mickiewiczowski „cymbalista“ był, jest i jeszcze długo będzie przez żydów wyzyskiwany ku bałamuceniu pojęć tych, których... można zbałamucić.

Kto jednak uważnie i beznamiętnie przestudjował Jankla, kto wniknął w tę epizodyczną postać naszej epopei, ten doskonale wie, że zuchwalstwo żydów narzucające genjalnemu wieszczowi apoteozowanie żydowszczyzny i przypisujące mu jakiś program filosemicki, jest bezwzględnym nonsensem.

Moglibyśmy z rozbioru wszystkich ustępów poematu, gdzie tylko wchodzi Jankiel, wykazać najdowodniej, że Mickiewicz nigdy takiego programu nie stawiał. Dość sobie przypomnieć: że poeta sam nie powiada o cymbaliście; „był dobrym Polakiem“, lecz mówi: „miał także sławę dobrego Polaka“, to jest innemi słowy: uchodził za takiego, cieszył się wśród dobrodusznej szlachty „z zaścianka opinją podobną“. Zresztą cała działalność „karczmarza-cymbalisty“ będącego zarazem i „podrabinkiem“ trzymana jest w półcieniu, w niedomówieniach, domyślnikach, słowem, nie przedstawia się jasną i wyraźną, jak naprzykład Jacka-Robaka.

Gdyby Mickiewicz istotnie był „filosemitą“, nie dałby z pewnością w tymże „Panu Tadeuszu“ następującego porównania:

Jęknęli wszyscy, wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
Która krzyczała, Sędzię objąwszy rękami,
Jako dziecko od żydów kłóte igiełkami.

Lecz nie w epopei należy szukać poglądu Mickiewicza na sprawę żydowską, nie z postaci Jankla należy wysnuwać wnioski i zastanawiać się, jakie wówczas, gdy o „antysemityzmie“ w dzisiejszem jego pojęciu ani się śniło, — miał wieszcz zdanie o etyce „dzieci jednej ziemi“, o działalności nietylko Janklów, ale Herszów, Moszków, Wigdorów, Szmulów i całej rzeszy pasożytów wyrosłych w ciągu kilku wieków na naszym organizmie narodowym.

Bo nie z poematów, ani liryk, gdzie zawsze pierwiastek fantastyczny i wyobraźnia górują nad trzeźwym rozumem, wnioskuje się o socjologicznych poglądach autora. W satyrze i bajce, lubo w niższym, lecz niemniej doskonałym rodzaju poezji epiczno-dydaktycznej, można dopiero odnaleść istotny pogląd na daną sprawę, a nawet program społeczny. Taki właśnie pogląd zawiera bajka p. t.: „Pchła i rabin“. W 14-stu dosadnych a jędrnych wierszach, mieści się w całej pełni pogląd Mickiewicza na sprawę żydowską i najdobitniejsze określenie, kim są „dzieci jednej ziemi“... Spróbujmy ową bajkę, będącą arcydziełem w swoim rodzaju, szczegółowo rozebrać.

W każdej bajce, jako w utworze poezji dydaktycznej, musi się mieścić t. z. „sens moralny“. Prawie zawsze sens ten, czyli jak z francuska się mówi *point'a* zawiera się w kilku końcowych słowach. O ile autor zdoła być w zakończeniu lakonicznym, o ile potrafi dobrać wyrazy jędrne a dosadnie określające cel bajki, tem silniej morał wraża się w umysł czytelnika.

Ztąd pochodzi i znaczenie pedagogiczne bajek, dzięki którym dzieci zatrzymują w pamięci niejedną prawdę moralną lepiej i dłużej, aniżeli z długich opowiadań. Im krótszy „sens moralny“, tem zawsze łatwiej utkwi w pamięci. Taki właśnie jędrny i dosadny łakonizm mieści w sobie zakończenie bajki „Pchła i rabin“ — zakończenie w formie pytania: „A czem żyje rabi?“

Autor, kończąc bajkę zapytaniem, nie potrzebuje na nie odpowiadać. Wszelkie wyjaśnienie byłoby zbytecznem, cała bowiem akcja poprzednia, cała przemowa rabina zwrócona do alegorycznej pchły, przed zgładzeniem jej, stanowi szczegółową, jasną i wyczerpującą odpowiedź.

Zanim na kwestję: „czem żyje rabi?“ metodycznie, słowami bajki, z dodaniem wniosków logicznie wyprowadzonych, odpowiemy, przypatrzmy się postaciom działającym.

Mamy ich dwie: rabina i pchłę. O ostatniej niewiele da się powiedzieć. Z przyrodzenia swego, szuka ona żeru na cudzem, jest „tem szkodliwsza, że cudze wypija“. Ale, powtarzamy, stanowi to właściwość przyrodzoną pchły, nie obdarzonej przecie ani rozumem, ani wolną wolą, ani sumieniem. Więc marne i nikłe stworzonko, chociaż gryzie, czyni to przez instynkt, gwoli zdobycia pożywienia, a z tego, że komuś sprawia cierpienie, lub wyrządza krzywdę, nawet sprawy sobie nie zdaje.

Tymczasem rabin jest przecież człowiekiem. Ba! i nie byle jakim człowiekiem. Mickiewicz wprowadził do bajki nie zwykłego żyda-handełesa, jakich przecie znał tysiące w Nowogródku, Wilnie, czy też później w Kownie. Pogromcą pchły jest sam rabin, i do tego taki rabin, który „w Talmudzie kąpie się po uszy“, więc z urzędu i ze stanowiska swego, krzewiciel wśród swoich współwyznawców zasad religji i moralności talmudycznej.

Szczegół to ważny i zwracamy nań baczną uwagę, w zestawieniu z konkluzją bajki Niewątpliwie, obok „kąpania się po uszy w Talmudzie“ — uprawia nasz rabin i inne zajęcia, co się przecież dość często praktykuje. Oprócz kilku szczególnie uprzywilejowanych cadyków, czyli t. z. „cudotwórców“, którym żydzi znoszą odsetki od zysków z swej „pracy“, — reszta rabinów, obok Talmudu, zajmuje się zwykle jakimś subtelnym handelkiem i różnorodnemi operacjami finansowemi, w przeprowadzaniu których teorja talmudyczna nietylko nie stanowi przeszkody, lecz często bardzo dopomaga. Co się tyczy rabina z bajki, jest to tylko nasz domysł, zdaje się przecież dość usprawiedliwiony.

Bądź co bądź, Mickiewicz. dla silniejszej charakterystyki i wyraźniejszego oświetlenia roli żydów w społeczeństwie, wybrał uczonego talmudystę. I tu aż nadto wyraźnie ujawnił swą świadomość, czem jest moralność wypływająca z Talmudu, moralność stosowana inaczej względem swoich, a inaczej względem Chrześcijan. Stwierdzają to słowa rabina do pchły zwrócone, co przy dalszym rozbiorze jeszcze dosadniej się przedstawi.

Lecz spieszno nam zastanowić się nad pytaniem: „czem żyje rabi?“. Rozważymy słowa, jakie Mickiewicz wkłada w usta mocno rozgniewanego pchłą napaścią rabina.

„Rola“.

Były i przyszły dyrektor teatru.

III. Pisząc o *ensemblu* wspomniałem pobieżnie o utratach sił, jakie nasz teatr poniósł za rządów p. Pawlikowskiego. Chcę być ścisłym w swych zarzutach. pozwolę przeto przypomnieć nazwiska tych artystów i artystek, którzy czy to zniechęceni brakiem systematyczności u steru, czy to sparaliżowani jadem zakulisowych intryg, czy to wreszcie maltretowani przez „bezkrólewie“ — opuścili Kraków, lub nie mając na tyle energji (a może środków) aby odejść, zapadli się w odmęt zapomnienia. Jest ich wielu!

Już sam początek entrepryzy p. Pawlikowskiego zaznaczył się tem właśnie, że scenie krakowskiej ubyli tacy artyści jak: Żelazowscy, Ruszkowski, Siemaszkowie, Antoniewski, Werner i t. d. Na ich miejsce, a właściwie dla dokompletowania towa-

rzystwa, p. Pawlikowski obdarzył nas paniami: Trzcińską, Ekiertową, Zawadzką, Truskowską, Konicką, Heleńską, Dubiel, pp. Geldnerem, Richterem, Swaryczewskim, Grabowieckim i t. d. Ilość miała zapewne zastąpić jakość, ale że artystów nie można mierzyć na metry, jak dekoracje teatralne, a więc ilość Krakowowi nie zaimponowała wcale. Zaczęto tu i owdzie przebąkiwać o... „szkółce freblowskiej“.

Wracajmy jednak do rzeczy. Kolejno angażowani dawniej lub później ubywają nam: p. Honorata Leszczyńska, niezrównana „Madame Sans-gêne“, p. Gabryela Morska, pod niebiosy wynoszona przez pierwsze dwa sezony, w trzecim poniżana i odpychana od ról, p. Natalja Siennicka, stanowczo największa dziś artystka w Polsce w wydziale „wielkich kokot“ i nowoczesnym repertuarze, Tekla Trapszówna, którą zbyt świeżo mamy w pamięci, abym zasługi jej i talent miał przypominać, dalej ubywa nam także Marja Sznage, wcale uzdolniona, a przedewszystkiem niezwykłą urodą obdarzona artystka...

Z artystów porzucają Kraków: Apollo Lubicz, jeden z najsprytniejszych reżyserów i doskonały artysta do ról lekkich (Lubicz umiera w rok dopiero po opuszczeniu Krakowa), M. Szobert, z którego manierą staroniemieckiej gry można się było nie zgadzać, a jednak trzeba było cenić jego rzetelny talent, Edmund Rygier, obecnie dyrektor teatru poznańskiego, Józef Popławski, bez warunków, ale wybitna zdolność, w końcu Józef Śliwicki, pierwszy amant, bohater i filar naszej sceny. Nadto śmierć zabiera nam w tym czasie: Antoninę Hoffmanową i Marcelego Zboińskiego (tego ostatniego właśnie w chwili, gdy miał Kraków porzucić dla Lwowa). Nie licząc zmarłych ubyło Krakowowi, za czasów p. Pawlikowskiego, sił bardzo wybitnych piętnaście!

Przypatrzmy się teraz tym, co nie wyjechali wprawdzie, ale, siedząc na miejscu, doczekali się tego, że nic nie grają, albo bardzo mało, a co za tem idzie, zamiast się rozwijać, zanikają — tracąc lata najlepsze i talent.

W tem miejscu muszę cokolwiek bliżej wyjaśnić stanowisko, z jakiego wychodzę, wysnuwając zarzuty przeciw p. Pawlikowskiemu. Dyrektor teatru w Krakowie jest osobą niezależną ani od kasy emerytalnej (tak jak we Lwowie naprzykład), ani od komisji artystycznej (tak jak się to dzieje gdzieindziej). Nikt go przeto nie krępuje w układaniu repertuaru, tembardziej w doborze personalu. Dyrektorowi wolno angażować kogo mu się podoba, wolno także dymisjonować kogo chce, choćby w środku sezonu. Mając taką nieograniczoną swobodę działania, każdy sumienny dyrektor powinien dobierać tylko taki personal, jaki jest mu niezbędny.

Mylnem i ciasnem jest pojęcie, że *engagement* obowiązuje dyrektora tylko do płacenia gaży aktorowi, nakłada ono na niego stokroć odpowiedzialniejszy obowiązek, obowiązek moralnego opiekowania się zdolnościami artysty lub artystki. Talent, to dar Boży, którego nie wolno lekceważyć i niszczyć dla pierwszej lepszej chimery. Dyrektor angażując aktora, a względnie podpisując z nim kontrakt, przyjmuje na siebie zobowiązanie, wprawdzie paragrafami prawnymi nie objęte, ale ciążące na nim z racji stanowiska, że aktorowi, jako artyście nie da z głodu zginąć! Ileż to mamy przykładów w historji teatrów, że artysta rzuca pewną gażę dla tego tylko, iż gdzieindziej, przy nieregularnej pensji, będzie mógł grać i rozwijać się normalnie! Niedaleko szukając żywy przykład dają: p. Morska i p. Popławski, którzy woleli uciążliwą wędrówkę po Rosji, przy efemerycznem powodzeniu kasowem, niż stałą i pewną pensję u p. Pawlikowskiego!

Streszczając to, com wyżej powiedział, brzmi to tak: dyrektorowi wolno nie angażować artysty, skoro uznaje, że jest mu nie potrzebny, ale nie wolno angażując, niszczyć go artystycznie. O tym obowiązku p. Pawlikowski od początku nie chciał i nie chce pamiętać, dlatego mamy poważny szereg artystów, którzy niemal zapomnieli, jak rola wygląda! Pozwolę sobie przytoczyć niektóre nazwiska artystów „zapomnianych i od łask dyrektorskich odsuniętych“. Klasycznem i wprost gorszącem jest postępowanie dyrekcji z artystką tej miary i tych zasług co p. Paulina Wojnowska. P. Wojnowska od dwóch sezonów nie miała ani jednej nowej roli właściwej dla siebie, popisowej. Przeciwnie, zepchnięto ją niemal do rzędu statystek. W normalnych warunkach przypuszczam, że o tak znakomitą artystkę upominałaby się komisja artystyczna, u nas, w Krakowie, mniej się jednak dba o talenty, niż o... zewnętrzne warunki! Idźmy dalej. Przez całe pięć lat p. Kotarbiński grał tylko o tyle, o ile wyjeżdżał na gościnne występy do Warszawy, lub wówczas, gdy miał zastrzeżony kontraktem benefis w Krakowie. Nazwisko jego na afiszu było i jest rzadkością. A przecież artystę tego p. Pawlikowski zabrał ze sceny warszawskiej, gdzie zajmował poczesne stanowisko i mógł się coraz świetniej rozwijać artystycznie! Jaskrawym przykładem lekceważenia talentów i braku opieki nad nimi jest dalej p. Knake-Zawadzki, obdarzony niepospolitymi warunkami i zdolnościami. Przez cały ciąg dyrekcji p. Pawlikowskiego, artysta ten zaledwie znalazł kilka ról dla siebie odpowiednich, w których mógł się postawić i zabłysnąć. A doprawdy wdzięczniejszego zadania niż praca nad talentem p. Zawadzkiego trudno odnaleźć. Nie mogę przemilczeć także o p. Stępowskim, artyście, który użyty właściwie mógł zająć wybitną placówkę — dziś mało kto go pamięta!

A dalej jeszcze p. Solski, zesunięty do epizodu, p. Przybyłowicz, którego świeżo Poznań tak oklaskiwał, a panie: Senowska, Krysińska i t. d. — to są chyba zbyt wymowne dowody, że sztuka dyrektorska nie kończy się tam, gdzie piękne dekoracje i stylowe wystawy! Można nawet niejedną rzecz doskonale zescenizować, ale to nie znaczy jeszcze odpowiedzieć warunkom, jakie ciążą na kierowniku teatru!

Minos.

Z KRAJU.

Lwów 11 stycznia.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Nie wesołe echa z posiedzeń lwowskiej Rady miejskiej. — Jaka tendencja panuje w pewnych sferach magistrackich, a szczególniej w departamencie budowniczym. — Mała, ale ważna przeszkoda.

Od pewnego czasu, przychodzą echa z posiedzeń lwowskiej Rady miejskiej, które w opinji publicznej nietylko przykre, lecz przygnębiające robią wrażenie. Niedawno toczyła się dyskusja do żywego obrażająca uczucia chrześcijańskie naszej ludności. Dali do tego powód radni żydowscy, mianowicie pp. Byk i Loewenstein i chociaż otrzymali odpowiednią odprawę, jednak sam fakt pojawienia się takiej dyskusji, był już pewnego rodzaju prowokacją tem bardziej, że pp. Byk i Loewenstein cofnęli się, ale z zastrzeżeniem, że ustąpują nie zasadniczo, lecz dlatego, że sprawa całe jest bezprzedmiotowa.

Teraz znowu mieliśmy inny objaw z ostatniego posiedzenia lwowskiej Rady miejskiej, który daje dużo do myślenia dlatego, że nie jest on pierwszy, a z pewnych okoliczności wnosić należy, że i nie ostatni. Chodziło o oddanie robót, przy zaprowadzających się się wodociągach miejskich, przyczem akcja co do oferty tak pokierowaną została, że dla krajowych przemysłowców i fabrykantów przypadałoby coś 8.000 zlr., gdy tymczasem dla zamiejscowych Niemców, przeszło trzykroćstotysięcy zlr. Mógłby kto sądzić, że nasi rękodzielnicy nie są w stanie takich robót wykonać, tymczasem jest to wierutnym fałszem, tem bardziej godnym potępienia, że nie opartym na nieznajomości stosunków, lecz na tendencyjności, pod którą się wolno domyślać rozmaitych rzeczy. Przeciwko takiemu bogaceniu cudzoziemców, wystąpił też energicznie wiceprezydent i poseł na Sejm p. Michalski, a poparli go pp. inżynierowie Rawski i baron Gostkowski do tego stopnia, że ten ostatni aż do porządku został przywołany. Uchwała w tym kierunku, aby niemieckim przedsiębiorcom oddać krociowe roboty, jeszcze nie zapadła i zdaje się, może nie zapadnie tak, jak sobie pewne sfery magistrackie życzą, jednak nie ulega wątpliwości, że w sprawach opierających się w jakikolwiek bądź sposób o magistracki departament budowniczy, protegowanie przedsiębiorców cudzoziemskich jest tak silne, że zwraca na siebie powszechną uwagę. Absolutną nieprawdą jest, aby nasi inżynierowie, rzemieślnicy, lub fabrykanci nie byli w stanie podołać takim robotom i nonsensem jest pisać i głosić dytyramby na cześć politechniki we Lwowie, a gdy w kraju trafiają się roboty techniczne na szerszą skalę, to usiłują je oddawać Niemcom. To jest nietylko nonsensem, ale działalnością tak wprost szkodliwą, że nie ma dość silnych wyrazów na ich potępienie. Z tych samych sfer magistrackich, co popierają przedsiębiorców Niemców, straszono, że jak się dostanie tramwaj elektryczny w zarząd miejski, przedsiębiorstwo to zbankrutuje — tymczasem tramwaj elektryczny robi obecnie olbrzymie interesy i dochód z niego co miesiąc się zwiększa. Straszono potem, że miasto będzie źle wychodziło na gazowni miejskiej, gdy ją odbierze od dessauczyków i chciano nam zostawić na patrona, grubo płatnego Niemca — okazało się teraz, że gdy dyrektorem gazowni jest Polak, fabryka jest prowadzona prawidłowo, podług wszelkich wymagań technicznych, miasto i lokale są lepiej oświetlane, a gaz jest tańszy.

Już źle się stało, że budowę wodociągów powierzono inżynierowi cudzoziemcowi, niejakiemu p. Smrekerowi, jeszcze gorzej jak Niemcowi, bo zniemczonemu Czechowi — zrobiono to niby na tej podstawie, że to jest specjalista do wodnych robót. Wszystko to jest bajką, bo u nas w tym rodzaju specjalistów, znalazłoby się po nad potrzebę, a profesorowie lwowskiej politechniki, między nimi profesor p. Richter, wielce inżynier robót wodnych, mogą poświadczyć, że absolutnie do żadnych robót inżynierskich nie potrzebujemy sprowadzać zagranicznych specjalistów, bo mamy doskonałych swoich własnych. Tak samo rozprawiano w Magistracie, na trzeciem piętrze, gdzie jest urząd budowniczy, że nowy teatr powinien być postawiony przez jakiego specjalistę od teatrów, Niemca i tylko zawdzięczać należy poczciwemu dziennikarstwu polskiemu, że budowa [illegible]go teatru we Lwowie dostała się w ręce i pod [illegible] planów polskiego architekta i że nie ulega na[illegible]niejszej wątpliwości, że gmach [illegible]n będzie nietylko ozdobą naszego miasta, lecz mógł[illegible] nią być w największej stolicy europejskiej. A [illegible]ą elektrycznością jakże się stało. W szanownym Magistracie gwałtu krzyczano, że u nas nie ma elektrotechników i niemal molestowano p. Kerna, aby raczył zostać i raczył [illegible]ać pieniądze. Przeforsowało się inaczej i teraz jest kierownikiem miejskiej elektrotechniki inżynier Polak p. Tomicki, a wszystko jest we wzorowym porządku. Niezawodnie, byłoby tak i z wodociągami miejskimi, gdyby ich budowę powierzono inżynierowi Palakowi. Skoro się jednak źle stało i to, co się stało, odstać się nie może, nie idzie zatem, aby te sfery, które tak naciskiem popierają interesa przedsiębiorców Niemców, miały otwartą wolną drogę do podkopywania bytu naszych inżynierów, fabrykantów, rzemieślników i przedsiębiorców. W Radzie miejskiej — jestem przekonany — za przykładem zacnego wiceprezydenta Michalskiego, znajdzie się poważny zastęp radnych, którzy otwarcie i bez ogródek wystąpią przeciw tej destrukcyjnej działalności, podszytej tendencjami wprost wymierzonemi przeciwko naszym interesom narodowym, bo właśnie patrjotyzm nasz obok ideałów, wymaga, aby się zwiększał dobrobyt ogólny, przez dostarczanie pracy rękodzielnikom i chleba swoim, a kto polską naukę krzywdzi, przez pomiatanie polskimi specjalistami, tego trzeba zwalczać, bez żadnych zasłon i zastrzeżeń.

Zet.

Z ZIEM POLSKICH.

Z Prus Zachodnich 8 stycznia.

„Kannegiesserei“. — Co to jest i co sprawia. — Biorą nas w krzyżowy ogień.

Kto między Niemcami nie obracał się wiele, bodaj czy wie, co u nich znaczy „Kannegiesserei“. „Kanne“ to dzban, a „giessen“ znaczy lać. „Kannegiesserei“ znaczyłoby więc lanie albo nalewanie ze dzbanka. Jako terminus technicus zaś znaczy mędrkowanie o polityce przy popijaniu po knajpach.

Nie brak i u nas politykowania i polityków przy kieliszku, ale nic to w porównaniu z niemieckimi Kannegiesserami. Stosunek mędrkowania i gadulstwa naszych do tamtych będzie zapewne ten sam, jak stosunek kieliszka do kufla lub dzbana. A przysługuje Kannegiesserom nietylko większy rozmiar naczynia, z którego piją i większa ilość pochłanianego napoju, którym jest przeważnie piwo, ale — co więcej jeszcze znaczy — przysługuje im ścisła i akuratna regularność schadzek po knajpach, liczne zwykle towarzystwo i niczem nie krępowana swoboda w politykowaniu.

Nasi politycy od kieliszka ograniczają posiedzenia swoje na kółku zaufanych osób, a wertowanie przedmiotu dzieje się w krótkich zdaniach, często niedopowiadanych i to półgłosem najczęściej. Kannegiesserzy rozpuszczają przy tem gębę od ucha do ucha, to też polityczna dyskusja, poczęta przy jednym stoliku gdzieś w kącie knajpy, przenosi się wnet do drugich i wnet wre tam cała sala.

To też inne bywają skutki z Kannegiesserstwa niż z naszego politykowania przy kieliszku. Nasi zadowoleni tem, że się mogli wygadać i popisać z mądrością polityczną w zaufanem kółku, tamci zaś starają się mówić nietylko do najbliższych w towarzystwie, nietylko do całej sali wreszcie, ale i poza jej okna i ściany, do tego, co się nazywa publiką i narodem wreszcie, szczególniej zaś do tych, którzy mają władzę i obowiązek śledzenia i karania. W czasach jakiegokolwiek poruszenia przeciw niesympatycznemu Kannegiesserom kierunkowi w polityce, oni to, ci piwosze, po knajpach mędrkujący, bywają fabrykantami denuncjantów i denuncjacyj, oni szpiegują i umieją wyszpiegować to, czego niema i nie było, a nawet być nie mogło, oni rzecz najobojętniejszą i najniewinniejszą wykwalifikują na zbrodnię, na zagrożenie porządku i bezpieczeństwa publicznego, a co najgorsza, poburzą i do wściekłości rozdrażnią kompatrjotów swoich spokojnych, że ci w końcu uwierzą w zagrażające im zło i frontem staną do wymarzonego niebezpieczeństwa i niewinnych ludzi.

Oto przykład i dowód.

W r. 1866 po rozpoczęciu wojny Prus przeciw Austrji odbywało się w kościele ewangielickim w mieście fortecznem Grudziądzu nabożeństwo dla uproszenia szczęścia orężowi pruskiemu. Kościół był przepełniony modlącymi się, samymi ewangielikami i Niemcami. W mieście i w fortecy była silna wojskowa załoga pruska. Z okolicy, jak zwykle po mobilizacji armji, pobrano wszystkich rezerwistów i landwerzystów pod broń. Pozostali więc w całej tej polskiej okolicy ludzie do broni niezdatni. Naraz krzyknął ktoś w toku nabożeństwa: „Die Polen kommen!“, a kto mógł, ratował się z duszą na ramieniu i był z tego

ten skutek, że kilku ludzi w ścisku u drzwi podeptano, pokaleczono a nawet i zaduszono, wyskakujące zaś kobiety z okien . . bruk połamały ręce i nogi.

Kto tego narobił? Kto krzyknął w kościele? Tego nigdy wyjaśnić nie zdołano. Tyle tylko wykazało się rzeczą pewną, że politycy od dzbana wypowiadali po knajpach pogłoski, że Polacy coś knują i gotowi skorzystać z ogołocenia Grudziądza z wojska, aby zdobyć fortecę. Niemieckie pismo miejscowe, dotąd najzawziętszy wróg Polaków i Słowian, *Gesellige*, rozprawiało właśnie na temat, że Polakom ufać nie można, że gotowi w boju przerzucić się na stronę Austrji. Wiadoma rzecz, że nie było takiego wypadku ani w austrjackiej, ani później we francuskiej wojnie.

Poprzednio już w r. 1848, gdy tu w Prusach Zachodnich wszystko było spokojne, panowie Kannegiesserowie takiego stracha napędzili braci swojej, że co chwila nadchodziły do miast i komend wojskowych, gęsto po kraju rozkwaterowanych, doniesienia o zbliżających się zbrojnych kadrach polskich. A więc alarmowano wśród nocy miasta i zamykano bramy miejskie, jak w Chełmie, albo sprowadzano oddziały konnicy na pomoc wsiom. Z takiego powodu i w takim strachu atakowali huzarzy pruscy w nocy sążnie torfu, w rzędach stojące, w mniemaniu, że to roty kosynierów, i ledwo koni nie potopili w bagnisku.

Gorszym przecież owocem polityki kannegiesserskiej jest ciągłe podżeganie ludności niemieckiej przeciw polskiej i rozciąganie tej nienawiści coraz to wyraźniejsze na Słowian wogóle. Gorsze wymyślanie Bóg już wie jakich zamiarów, knowań, dążeń i celów, które ludność polska ma kryć i mieć w zamiarze; gorsze jeszcze zmyślanie nawet nie pomyślanych faktów, które mają ściągnąć na Polaków odjum w całych Niemczech, jako na ciemiężycieli baranków niemieckich, gorsze kłamanie najróżniejszych zarzutów, nawet kryminalnych, które się już niejednokrotnie stały powodem do śledztwa i procesów karnych, a w końcu okazały fałszem i świadomie mylną denuncjacją.

To kannegiesserstwo też płodzi te utrapienia, do męczarni posuwane, które ubogi lud polski od niższych urzędników, a nawet niejednokrotnie i od wyższych, znosić musi, płodzi te ciągłe podejrzewania, płodzi te wyzwiska i życie oprzykrzające przymówki szydercze, któremi lud ten dzień po dniu traktują niemieccy dozorcy przy robotach, a mianowicie urzędnicy gospodarczy po wsiach.

Hakata oprzęgła sobie teraz kannegiesserów zupełnie na bydło swoje robocze. Czego panowie z zarządu hakaty nie dostrzegą, nie wymyślą i nie pomyślą, kannegiesserzy to zrobią. A że kannegiesserja jest bezwyznaniową, ma więc tę dogodność, że łatwo jej siać rozdwojenie między katolikami niemieckimi a polskimi.

Niestety! polityka centrum katolickiego w parlamencie niemieckim zaczyna — zdaje się — zapominać zasad ś. p. Windthorsta i wypierać się współwyznawców swoich polskich dla znalezienia łaski u góry. Jedno z katolickich pism niemieckich w Westfalji, bardzo poczytne, oświadcza się wprost za germanizowaniem prowincyj wschodnich przez duchowieństwo i ludność niemiecką katolicką. Twierdzi nawet, że ta metoda skuteczniejszą będzie od komisji kolonizacyjnej.

Zdaje się też rzeczywiście, że podobne myśli i chęci pokutują już w głowach niektórych księży katolickich, a Niemców rodowitych, zwłaszcza w głowach młodszych kapelanów i wikarjuszów.

Niedawno temu zwołał pewien młody wikarjusz, Niemiec z rodu, zebranie katolików w Toruniu na to, aby zawiązać towarzystwo z katolików Niemców i Polaków. Językiem towarzystwa chciał mieć wyłącznie język niemiecki. Przyskoczyli mu do pomocy znani i wybitni hakatyści i szowiniści niemieccy. Bojąc się przecież zmajoryzowania Niemców przez polskich członków przyszłego towarzystwa, okroili bardzo skrzydełka polotowi ks. wikarjusza i zgodzili się na czysto niemieckie stowarzyszenie z wykluczeniem polityki. Towarzystwo ma być ograniczone na „Geselligkeits-Verein" — być więc resursą czy klubem dla rozrywki tylko. Autorowie tej zmiany tuszą sobie zapewne, że zszeregowawszy swoje katolickie, a same niemieckie siły, tem swobodniej będą mogli obmyślać środki na korzyść hakaty i germanizacji, nawet przez duchowieństwo, jak proponowano z Westfalji.

Przybędzie więc przy dobrem piwie jedno miejsce i sposobność do kannegiesserstwa, a wtedy, tuszą sobie wziąć nas w krzyżowy ogień dwóch wyznań, a może myślą to robić w imię i dla chwały krzyża. Odżywa więc tradycja krzyżacka. *St. Warsz.*

ZE ŚWIATA.

Paryż, 8 stycznia.

[List oryginalny „Głosu Narodu"].

List o Dziewicy Orleańskiej, — Menelik najwyższym sędzią.

W ostatniej mojej korespondencji wspominałem o liście rycerza Dunois, pisanym w pierwszej połowie XV wieku do przyjaciela z wzmianką o śmierci Joanny d'Arc. Otóż ciekawy ten dokument, znaleziony w archiwach książąt Orleańskich brzmi dosłownie jak następuje:

„Serce moje przepełnione żalem — mówi — daj mi się wypłakać Faintrailles. Nie ujrzymy już nigdy Joanny. Została zgładzona w straszny sposób. Poprzysięgam, że zemszczę się na nikczemnych Anglikach, którzy zamordowali tę piękną wojowniczkę, słynącą z rozumu i odwagi i ogłosili ją oszustką, czarownicą, opętaną przez złego ducha. Bóg świadkiem, że nie używała żadnych czarów, tylko swojego miecza. Będę niegodnym miana rycerza, jeśli nie pomszczę tej, która z tyłu niebezpiecznych przygód wyszła zwycięsko. Faintrailles, piszę do ciebie wśród łez gorzkich; ale mój żal w wściekłość się przemienia, gdy pomyślę o Anglikach, przeklętych, zdradzieckich w boju, wiecznie żądnych łupu. Twój przyjaciel i wierny rycerz — Dunois."

List ten rzucający jasne światło na zagadkową historję miłości Joanny d'Arc w procesie beatyfikacyjnym Dziewicy Orleańskiej posłuży za silny dowód jej niewinności dziewiczej i świętości życia. Sprawa ta, która niezadługo rozstrzygać się będzie w Watykanie w coraz to szerszych kołach, spotyka się z ogólnem zainteresowaniem. O pozwolenie na przeprowadzenie procesu ubiega się biskup Orleanu, msgr. Touchet.

Ubiegłej jesieni zdarzyło się, iż kolonję francuską z Adis Abeba zaprosił słynny Negus Abisynji do swej stolicy, aby europejskim gościom wydać widowisko sądów publicznych, odprawianych pod jego auspicjami. Jeden z naocznych świadków przesłał tu o zdarzeniu tem ciekawe szczegóły. Oto niektóre wyjątki z jego listu: „Nie w ponurej, chłodnej sądowej sali, ale pod wiecznie pogodnem niebem Abisynji zasiadł Menelik na sędziowskim tronie. Cesarz, podług zwyczajów wschodnich, rozłożył się wygodnie na purpurowym dywanie pod baldachimem ubranym w żywe kwiecie i zieleń palmowych gałązek. Nam wyznaczono miejsce zaszczytne po lewicy władcy. Po jego prawej stronie na stopniach tronu spoczywa Affa-Negus, „Usta królewskie", starszy sędzia państwa. U jego nóg zasiadła reszta trybunału, sześciu sędziów w śnieżnobiałych turbanach. Dookoła placu sądowego zgromadził się lud. Wprowadzają oskarżonego. Zgodnie ze zwyczajem miejscowym skrępowano mu dłonie i przywiązano nieszczęśliwego po obu stronach do ramion dwóch mężczyzn niewinnych, którzy w razie potrzeby mają przeszkodzić mu w samobójczych zamiarach. Młody to jeszcze, wynędzniały chłopak, wie on już dobrze, jaki los go czeka i śmiało patrzy w oczy wszystkich.

— Czemu mordowałeś? — zaputuje Negus.

— Chciałem kraść.

— Zatem zbrodnia twoja nie miała innego celu?

— Jestem żebrakiem; człowiek ten miał pieniądze złote, przeciąłem mu więc pas, aby je wziąć.

— Dosyć, będziesz stracony. Czy masz jeszcze prośbę jaką?

— Daruj mi życie, a będę cię czcił jak Boga.

Cesarz obraca się w stronę ludu i zapytuje o zdanie starszych państwa. Pewien starzec oświadcza, że równego temu morderstwa nie pamięta w całem swoim długoletniem życiu. Inny domaga się, aby chłopca żywcem spalono. Tłum hałaśliwie i groźnie wyraża swoje oburzenie wobec ohydnej zbrodni. Wreszcie Affa Negus powstaje z miejsca i każe przynieść księgę praw. Donośnym głosem czyta jeden z sędziów: „Kto zabija człowieka i zbrodnią swoją wyrządza miastu szkodę, winien być żywcem spalony".

Oto koniec, jaki czeka każdego mordercę, ale król królów Etjopji pragnie okazać się wspaniałomyślnym. Zrywa się więc ze swego tronu i woła: „Człowieka tego ja ułaskawiam, zostaje skazany na śmierć przez powieszenie".

Tłum wznosi tryumfalne okrzyki. Straż gromadzi się około skazańca, zarzuca mu stryczek na szyję i prowadzi go natychmiast na plac egzekucji. O godzinie 10-tej zapadł wyrok, o 10 minut 20 mordercą zawisnął na szubienicy". Prawdziwie po etjopsku.

K. W.

Rzym d. 9 stycznia.

(List oryginalny „Głosu Narodu")

Przegląd p. t. „Vox Urbis". — Szarady Ojca św. — Moneta Chrystusowa. — Rok 1898 we Włoszech. — Watykan i Kwirynał.

Doniosłem w swoim czasie o tem, że począł u nas wychodzić w języku łacińskim przegląd p. t. *Vox Urbis*. Do współpracowników należą najlepsi znawcy klasycznej łaciny z półwyspu apenińskiego, prałaci, a nawet kardynałowie, jak naprzykład kardynał-wikary J. Em. Lucido Marja Parocchi.

W jednym z pierwszych numerów znajdujemy wiersz o... bicyklu, podpisany nazwiskiem, czy pseudonimem Maurus Ricci. A wiecie jak autor nazwał welocyped po łacinie? Naszem zdaniem, bardzo trafnie: *birota velocissima*, najszybsze koło podwójne. Inny artykuł poświęcony jest don Lorenzo Perosi'emu, odnowicielowi muzyki kościelnej, który obecnie jest w Rzymie bohaterem dnia.

Każdy numer posiada na końcu zupełnie nowożytną rubrykę szarad pod tytułem: *aenigmata*. A kto jest ich autorem? Ba — ktoś, co stoi bardzo wysoko, bo nawet po nad monarchami, jednem słowem, sam Ojciec św. Twórca przesławnej ody *Vivat Christus, qui diligit Francos* w chwilach wolnych, których ma tak niewiele, pisze z prostotą apostołów owe *aenigmata*, które mimo to nie przestają być perłami klasycznej łaciny.

Sądzimy, że czytelnicy przyjmą z synowską radością dwie szarady, które podajemy bez tłomaczenia i rozwiązania, sądząc, że dla takich rzeczy warto przecież zaglądnąć do słownika i choćby kilka godzin poświęcić myśleniu. Zresztą czytelnicy świeccy mają w odwodzie swych duszpasterzy, wielebnych ks. proboszczów, którzy nie odmówią pomocy.

Oto szarady:

I.

Pars prior *interdum velis ornatur et auro;*
Altera pars, *prisco tempore, nummus erat.*
Uno juncta simul verbo pars utraque *gentem*
Rapto viventem belligeramque notat.

II.

Et dolet et gaudet pars prima, *sed* altera *servat*
Quo vescare; refert utraque juncta *decus.*

Za dwa miesiące *Vox Urbis* ogłosi oficjalne rozwiązanie szarad i spis osób, które nadeślą do redakcji trafne i zgodne z oficjalnem rozwiązanie, a jako premję otrzymają tom łacińskich poezyj. Korespondent wasz doniesie o wyniku tego ciekawego konkursu, sądząc, że znajdzie się pewna liczba czytelników *Głosu Narodu*, którzy udadzą się wprost do *Vox Urbis*.

Ciekawy również spór prowadzi obecnie świat uczony, zwłaszcza francuski z powodu tak zwanej „monety Chrystusowej", którą Francuz p. Boyer d'Agen kupił u handlarza starożytności na *Campo dei Fiori* w Rzymie. Na jednej stronie znajduje się oblicze bardzo piękne Zbawiciela, na drugiej następujący napis hebrajski: „Mesjasz, król, przyjdzie w pokoju; jest światłem ludzkości, stał się żyjącem ciałem". Czy moneta jest autentyczną? Boyer sądzi, że wybito ją wedle wzoru, pochodzącego z pierwotnych czasów chrześcijaństwa, inni dowodzą, że pochodzi z wieku XVI, a stowarzyszenie francuskich znawców starożytności w Paryżu orzekło, że podobna jest do medali, wybitych ku końcowi XV wieku w Medjolanie, które mieli zwyczaj nosić żydzi nawróceni jako rodzaj legitymacji. O wyniku tego sporu doniosę również, o ile uczeni zdołają go rozstrzygnąć.

Z obowiązku kronikarskiego wspomnieć muszę o starym roku 1898, o którym liberalne a nawet radykalne dzienniki niewiele dobrego powiedziały, pomimo najlepszych chęci i ogromnych wysiłków sofistycznych. Zjednoczone przemocą wbrew woli wielkiej części narodu, odurzone szumnemi obietnicami, Włochy z roku na rok coraz więcej chylą się ku upadkowi. Gdy w przeszłym roku dnia 4 marca król w otoczeniu najwyższych dostojników państwa, święcił uroczyście rocznicę konstytucji, w Sycylji począł się już odzywać głuchy pomruk wyzyskiwanej ludności, pomruk, który wkrótce zamienił się w okrzyk powszechnej rewolucji socjalnej. Z końcem kwietnia wybuchły z powodu drożyzny rozruchy w Apulji i wkrótce objęły Campanję, Toskanę, Umbrję i Emilję, osiągnąwszy punkt kulminacyjny podczas groźnych zaburzeń w Medjolanie w dniach 6, 7 i 8 maja. Zaprowadzenie stanu wyjątkowego stłumiło wprawdzie objawy zewnętrzne niezadowolenia, ale nie usunęło wcale przyczyn i prędzej czy później iskra tlejąca pod popiołem za lada podmuchem przemieni się w pożar.

Przy tej sposobności rząd włoski nie wahał się rozszerzać kłamliwych potwarzy, jakoby duchwieństwo popierało rozruchy. Otóż pomijam tę sprawę, która w oczach ludzi rozsądnych nie znalazłaby wiary ani na chwilę, muszę natomiast kilka słów powiedzieć o rzeczach, na które od lat wielu patrzę codzienie własnemi oczyma. Wojsko włoskie z łatwością weszło przez wyłom w Porto Pia do Rzymu, z równą łatwością król Wiktor Emanuel pozbawił tronu i władzy papieża Piusa IX, opuszczonego przez sterroryzowaną Europę — mimo to Kwirynał ginie w cieniach majestatycznego Watykanu, a Rzym wcale nie jest królewskim, ale ciągle papieskim. Spostrzega to i konstatuje każdy nawet cudzoziemiec zaraz w pierwszym dniu swego pobytu nad Tybrem. Pominąwszy Boskie posłanictwo Stolicy Piotrowej, sama już praca cywilizacyjna ośmnastu wieków jest dla Watykanu fundamentem, którego nie zdołają rozluźnić wszyscy żydowscy i nieżydowscy masoni całego świata. Ależ w Watykanie jest kolebka nauki, literatury i sztuki i gdyby dziś powstali z grobu owi niezrównani mistrze pióra, dłuta i pędzla, kroki swoje skierowaliby ku zamkniętym ogrodom świętego starca w tjarze! To sobie powinni raz na zawsze spamiętać katolicy i zawsze i wszędzie bez wahania dawać świadectwo prawdzie. **Romanus**

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Drut telefoniczny wczoraj przebąknął znowu o czemś „nowem“ co z „góry“ na kraj spłynie łaską i dobrem w postaci teki ministerjalnej dla p. Bobrzyńskiego. Co na tem prawdy, przyszłość pokaże, której też cierpliwie, o wiele cierpliwiej od pana Bobrzyńskiego, oczekujemy. Wśród nauczycielstwa ludowego w kraju, wiadomość ta wywołała niezawodnie „miłe“ wrażenie, które da się streścić w tych muiej więcej słowach: „Chwała Bogu, niech już tam kto bądź zostanie wiceprezydentem, aby tylko on (t. j. p. Bobrzyński) poszedł. Ten co przyjdzie gorszym być nie może a nawet gotów czasem być lepszym“. Tak więc dziwnym zbiegiem kapryśnej fortuny, grubo niesympatyczny prezydent Rady szkolnej krajowej, otrzymuje w tej chwili w myślach całej armji pół-głodnych nauczycieli sympatyczne życzenia: „Szczęśliwej drogi“. Ile razy przeczytam coś o p. Bobrzynskim, doznaję takiego wrażenia — jakie wstrząsa prawdopodobnie barometrem, zmuszonym nagłą zmianą aury do opadania. — Przyczyny psychologicznej tego wrażenia odkryć jakoś nie mogę. Ale czekam na nią przecie — rysuję sobie tedy w duszy sylwetkę p. prezydenta. Sucha twarz o dużych oczach, ubrany starannie (jako profesor nosił zawsze czerwony kwiatek w butonierce) mowca płynny i łatwy, głowa tęga i rozumna, wola żelazna tam, gdzie idzie o wyforytowanie siebie samego. Każdy strzępek wiedzy został zużyty na wyściółkę po drodze do — pozycji i rangi. W nauczycielach wywołuje dreszcz trwogi swoim Jowiszowym wzrokiem — a i inni śmiertelnicy nawet z tyłu patrzą na pana prezydenta z uszanowaniem i każdy szepcze w duszy: „Chciałbym być tem — czem on myśli — że jest“.

Zostawszy prezydentem Rady szkolnej krajowej wywiesił sztandar: „Żadnych marzeń“ — wskutek czego zdawało mu się przez chwilę, że jest co najmniej ekspozyturą mocarza z północy dla Galicji. Powiedział sobie także: „Jak najmniej szkół i nauczycieli — a więc furda z podwyższeniem płac nauczycielskich“. No, ale ponieważ „coś“ zrobić trzeba było — więc wydaje się nowe plany naukowe dla szkół ludowych, zawierające mnóstwo nowych, doniosłych (!) pomysłów, powiększające odpowiedzialność i trud nauczyciela ludowego — w praktyce niewykonalne — wskutek czego nauczyciele muszą pracować jak należy, pieniądze zaś „wyrzucane“ na cele oświaty — są w istocie „odrobione“.

Ale zagalopowałem się... miałem bowiem analizować uczucie, jakie mnie ogarnia na myśl o prezydencie oświaty galicyjskiej... Nic nie szkodzi... bo dobre myśli mogą przyjść nawet po ścieżkach. Otóż co w p. Bobrzyńskim jest grubo niesympatyczne, to ten egoizm uosobiony w idei własnego interesu całego świata, to brak tej treści, o którą modlił się do narodu Krasiński śpiewając: „Daj nam dobrą wolę!...“

P. Bobrzyński za mądry jest i za inteligentny, aby mógł wierzyć, że swoją pracą dąży do podniesienia oświaty w kraju i stanu nauczycieli ludowych, a jeżeli świadomie przeciwdziała „rozwielmożnieniu się“ oświaty w Galicji, aby być dobrze widzianym w miarodajnych sferach — to z pewnością w sumie pracy narodowej nie zapisze przyszłość jego nazwiska. A szkoda, bo mógłby wiele zrobić. Tak — przebrzmi jego imię jak niejednego z nadętych biurokratów, kończących swoją „wielkość“ z przeniesieniem ich w stały stan spoczynku, choćby nawet z gwiazdą orderu Leopolda.

* * *

A o prezydenturze Rady szkolnej pisząc, nie mogę pominąć tych, na których karkach stoi dumny tron władzy szkolnej. Sprawa polepszenia bytu nauczycieli, sprawa szkół i ustawodawstwa szkolnego, niby tak żywo obchodząca nasze społeczeństwo, traktowana jest zawsze raczej jako środek do robienia opozycji, jako argument krytyki rządzacych sfer, niż jako wielka kwestja społeczno-narodowa. Posłowie opozycyjni prawem i szumem na temat losu nauczycielstwa w Galicyi szukają popularności w szeregach tych upośledzonych pracowników, szukają agitatorów na wybory, organizatorów stronnictw po wsiach, informatorów o „nadużyciach“ w powiecie. A że taka już ludzka natura, że gdy ktoś bodaj serdecznem słowem wspomni o tem, co boli człowieka, to już zaraz serce jego zdobywa, nie dziw, że ugięci i uciśnieni zwracają wdzięczne tęskne oczy bodaj ku tym, co **m ó w i ą** o ich niedoli i współczucie im okazują. Ale niech uderzą się w piersi opozycjoniści i przyznają, że szczerze dotychczas sprawy szkół i nauczycieli ludowych nie traktowali. „Miarodajne sfery“ byłyby raczej za obcięciem pensji nauczycieli, niż za ich podwyższeniem, bo oświaty się boją. Nie wiedzą ci ludzie „leniwego serca“, lub nie chcą wiedzieć, że tylko ciemnota, że „ślepy miecz“, jest wrogiem porządku społecznego i postępu, a nie oświata. Ale na upartych trzeba wywalczać i zdobywać prawa. Nie samo stawianie wniosków i interpelacyj w Sejmie, ale nie „wzywanie“ do przedłożeń, ale wypracowanie gotowego projektu do ustawy o podwyższenie płac nauczycieli na zasadzie budżetu krajowego, rozumnie argumentowany operat wskazujący środki na zagojenie tej bolesnej rany choćby kosztem innych mniej bolesnych, byłby krokiem naprzód w tej sprawie. Wszak mamy wielkich w kraju ekonomistów, mamy ludzi z „ministerjalnemi głowami“, bywali nawet członkowie wydziału krajowego z uspokojonych opozycjonistów, czemu dotychczas nie wystąpili ci panowie z rozumnym jakim projektem reformy, któregoby mogli bronić w Sejmie krajowym, choćby nawet obstrukcją przeciw opornym! Tego, co szczere i uzasadnione i sprawiedliwe żądać jest zaszczytem, jest zaś obowiązkiem tych, co wywieszają hasła realnej pracy dla postępu i obrony uciśnionych.

Czynu czekają ci wszyscy ugnieceni pracą i niedostatkiem nauczyciele ludowi — a nie obietnic, że będzie się o nich myśleć aż wtedy, gdy się znajdą środki (czy same znaleść się mają?)

Na różne rzeczy mniej potrzebne są pieniądze w kraju; społeczeństwo ma prawo domagać się od krajowej reprezentacji, aby szła z pomocą tam, gdzie każdy dzień zwłoki, znaczy się goryczą i cierpieniem, bólem i niezadowoleniem w życiu tych, którym do spełnienia ich obowiązków właśnie jak najwięcej spokoju, sił i równowagi duszy potrzeba.

W onegdajszym numerze naszego pisma umieściliśmy list jednego z nauczycieli z bolesną skargą — na cierniste życie z łaski normy pensyjnej dla tych ludzi!... W istocie cyfry te, to najsmutniejszy wyrzut, jaki możemy uczynić naszej gospodarce antonomicznej i naszej „pracy“ nad odrodzeniem narodu! 25 złr. miesięcznie — jako prowizoryczny — 22 złr., jako egzaminowany, pobiera w Galicji ludowy nauczyciel!

P. Bobrzyński miał odwagę publicznie powiedzieć, że to dosyć — a jeżeli w to wierzył, co mówił — to możemy podziwiać tę... naiwność!...

Nauczyciele prowizoryczni w szkołach miejskich w Krakowie pobierają po czterdzieści kilka guldenów miesięcznie. Po zdaniu egzaminów i kilkunastu latach służby otrzymuje taki nauczyciel posadę stałą nauczyciela młodszego — z pensją trzydzieści kilka guldenów!

A wymagań, a żądań, a pretensyj od tych „wybornie dotowanych“ bez liku. Na lada donos dyscyplinarka, na lada animozję byle jakiej wielkości, nagana, przeniesienie etc.

My wiemy o pewnym nauczycielu w Krakowie, panu P. — złożonym ciężką chorobą, wskutek czego rodzina jego złożona z żony i pięciorga dzieci, znajduje się w niedostatku, wiemy, że ten biedak prosił o zapomogę i tej mu odmówiono, — tak, że koledzy muszą ze swoich biednych groszy składkami ratować opuszczonego. Cóż na to kawalerowie różnych orderów z prezydjum Rady szkolnej krajowej? Może zgodzą się na otwarcie listy składek publicznych dla takich nauczycieli?

* * *

Dziennik berliński *Das kleine Journal* ogłosił w gwiazdkowym numerze wynik ankiety, którą urządziło to pismo na temat: „Jaki czyn wieku 19-tego należy uważać za najwybitniejszy i najdonioślejszy dla ludzkości“? Najrozsądniejszą odpowiedź dał profesor z Kielu Adickes, że dopiero przyszłe wieki mogą poznać i ocenić, co we wieku 19-tym było największym czynem. Przyrodnicy utrzymują, że takim czynem jest odkrycie fizycznego prawa utrzymania energji dokonane przez Helmholtza i Roberta Mayera (1842), inni uwauważają za taki czyn teoryą ewolucji Darwiua, inni wynalazek maszyn parowych, inni wynalazek narkozy i udoskonalenie aseptyki w zastosowaniu do chirurgii, prof. Falb odkrycie elektromagnetyzmu i motorów parowych, prof. Fraenkel z Halli wynalazek telegrafów, Ludwik Fulda odkrycie społecznego sumienia (!), Gareis, profesor z Królewca, zniesienie niewolnictwa, Vomery z Budapesztu, zmniejszanie się analfabetów. Profesor Graefe z Weimaru tak odpowiada na pytanie: „Trudno mi jest rozwiązać tę kwestję postawioną tak ogólnie — wobec tak wielu dziedzin działalności ludzkiego ducha. Przyjaciółka moja panna Schalk oświadczyła mi stanowczo, że wynalezienie roweru jest największem dziełem wieku“. Jules Lemaitre: „Największem dziełem wieku będzie ogólne rozbrojenie, jeżeli... cesarz i lud niemiecki do tego dopuszczą“.

Atoli ogromna większość powołanych do ankiety „wielkości“ chórem woła, że największem dziełem 19-go wieku na świecie jest... zjednoczenie państwa niemieckiego. Prof. Bekker z Heidelbergu twierdzi nawet, że takim czynem było mianowanie Bismarka prezydentem ministrów (!) a Hanslick, wiedeński krytyk muzyczny, utrzymuje z całą germańską bezczelnością, że zwycięstwo Niemiec nad Francją, ten oczywisty rozbój, ukoronowany łupieżą i rabunkiem w Bazaille — jest najznakomitszem dziełem wieku! Najlepszym ze wszystkich jest żyd Sonnenthal, aktor wiedeński, który twierdzi, że największego dzieła dokonał Zola swoim listem otwartym „*J'accuse*“, dał bowiem początek do uwolnienia świata od największej plagi — jaką jest antysemityzm. Prócz Sonnenthala jeszcze kilku idjotów nazywa awanturę Dreyfusowską i bohaterskie czyny Piquarta i Zoli największem dziełem 19-go stulecia.

Ciekawą byłaby podobna ankieta w Galicji. Przypuszczamy, że odpowiedzi mielibyśmy nie mniej interesujące. Na pytanie, co jest największem dziełem wieku, odpowiedzieliby n. p.: Romanowicz: „Idea kupienia przezemnie wsi, którą targuję.“ Kieszkowski: „Śledztwo karne w mojej sprawie.“ Daszyński: „Spadek po Czerneku i moje jazdy na Rivierę.“ Stojałowski: „Uzyskanie zwrotu za marki pocztowe.“ Danielak: „Wyrzucenie Rogoyskiego.“ Englisch, Marek i Gross: „§. 19. ustawy prasowej i jego skuteczność.“ Szczepanowski: „Motor naftowy zastosowany do maszyny drukarskiej.“ Rotter: „Przyjazd żydowskiego teatru do Krakowa.“ Friedlein: „Urodzenie się p. Rottera.“ Estreicher: „Referaty komisji artystycznej.“ Dr. Koneczny: „Zastosowanie katolicyzmu do teatru, polityki i potrzeb życia praktycznego.“ Pierwszy tragik naszej sceny: „Benefis i gościnne występy.“ Dyrektor teatru: „Ożenienie się mojego pierwszego tragika.“ P. Stryjeński: „Wynalazek koperty.“ Laskowski: „Mój reskrypt do Wójcika.“ Bracia Wohlfeldy: „Nasza plajta.“ Bank hipoteczny: „Szczęśliwe zakończenie sprawy Wohlfeldów...“

I tak dalej i dalej... *Keryks.*

Konkursy rozpisują: Wydział powiatowy w Lisku posadę inżyniera z poborami 1600 złr. Termin do 5 st cznia. — Wydział powiatowy w Brzeżanach na posa prowizoryczną konduktora dla dróg gminnych w pow cie. Termin do 28 bm. — Magistrat miasta Kałusza posadę weterynarza miejskiego za remuneracią 200 złr na posadę kasjera miejskiego z płacą 500 złr. (kau 800 złr.); termin do 15 stycznia.

KRONIKA.

Kraków 14 stycznia.

Kalendarz kościelny. Dziś sobota, Feliksa, męczennika: jutro Niedziela, Imię Jezus i Pawła, piewszego pustelnik, pojutrze Marcelego, Papieża.

Jutro w kościele OO. Paulinów na Skałce odpust św. Pawła, pierwszego pustelnika:

W kościele Bożego Ciała na Kaziminrzu jutro nabożeństwo brackie „Pięciu Ran Pana Jezusa“.

Jutro uroczyste nabożeństw w kościele OO. Jezuitów na Wesołej i w kościele Braci Miłosierdzia na Kazimierzu.

Kalendarz rybacki. W styczniu i lutym wolno łowić wszelką rybę.

Ochraniać należy: raka, tak samca, jak i samicę.

Kalendarz myśliwski. W styczniu wolno polować na: cietrzewie, dropie, głuszce, jarząbki, kozły, pardwy, ptactwo błotne i wodne, zające.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 7 minut 34, zachód przypada o godzinie 4 minut 2, długość dnia godzin 8 minut 28.

Stan powietrza. Dnia 14-go stycznia o godzinie 7 rano barometr 727.8, termometr + 2·0 C., wilgotność 95%, wiatr zachodni. 10.

„Obywatele“ kraju.

Żydowski dorobek z ubiegłego tygodnia przedstawia 6 bankrnctw, oraz według sumy oszacowania licytowanych realności kwotę **15 042 złr. 60 ct.**, co razem ze sumą za czas od listopada 1898 do dzisiaj przedstawia cyfrę **117 761 złr. 76 ct.**

I. „Obywatele“ którzy bankrutują.

Kurzmann i Spira w Podgórzu, Salomon Linker i Abraham Dörfler w Kołomyi, Abraham Schildhorn w Przemyślu, Natan Eisenstein w Stanisławowie, Mojżesz Hirsch Dallet w Krakowie, Natan Schiffer w Przemyślu. Passywa tego ostatniego wynoszą złr. 300·000.

II. „Obywatele“ którzy licytują.

Leibisz Geffner w Buczaczu licytuje dnia 23 bm. nieruchomości oszacowane na 850 złr.

Hersch Leib Roth licytuje dnia 3 lutego realność Adeli Moroziuk w Peczeniżynie o pretensję **17 złr. 28 ct.** Cena wywołania 450 złr.

Dawid Trattner licytuje dnia 31 bm. realność Hrycia i Anny Dawidów, oszacowaną na 1828 złr.

Sina Gross i Berko Klein licytuje dnia 28 bm. realność Franciszka Wescekiego w Jeleniu (o. p. Chrzanów). Cena szacunkowa 280 złr.

Dawid Rosenheck w Śniatynie licytuje dnia 6-go lutego realność Mikołaja Ostafijczaka Iwana. Cena szac.: 395 złr.

Debora Löwin licytuje dnia 1 lutego w Radziechowie realność Jana Zwatschki oszacowaną na 1908 złr. 50 cnt.

Majer Hersch Sigal licytuje dnia 1 lutego w Radziechowie realność Hrycia Diaków oszacowaną na 1869 złr.

Mojżesz Rittermann w Podgórzu licytuje dnia 7 lutego nieruchomość w Podgórzu ocenioną na 2816 złr. 10 cnt.

Izaak Weingast licytuje dnia 7 lutego realność w Czortkowie oszacowaną na 2800 złr.

Jakób Wachssman w Tarnobrzegu licytuje dnia 8 lutego nieruchomość w gminie Kaimów oszacowaną na 350 złr.

Serafina (!) Diamant licytuje dnia 8 lutego we Frysztaku realność Macieja Deudora z Zawadki. Cena szac.: 125 złr.

Aron Laden w Samborze licytuje dnia 8 lutego realność w gm. Sielec oszac.: na 491 złr.

Alte Weinstein licytuje dnia 7 lutego realność w Borszczowie ocenioną na 1080 złr.

III. „Różne obywatele“.

Żyd Ire Sonntag, były handlarz starych towarów, odzieży i t. p., dorobił się majątku na tandetach i w przeszłym roku wybudował dwie kamienice o dwóch piątrach pod l. 44 przy ulicy Żółkiewskiej we Lwowie. W swoim domu urządził handel korzenny i zmusza swych czynszowników, aby u niego kupowali, bo w razie, gdy spostrzeże któregoś z czynszowników, że u p. Józefa Kaczorowskiego, greislernika *vis-à-vis*, pod l. 65 przy ulicy Żółkiewskiej, człowieka uczciwego i szlachetnego, coś nabywa, natychmiast Ire grozi wypowiedzeniem mieszkania. Ponieważ czynszownicy Irego są innego przekonania, że daleko lepiej i uczciwiej kupować u Kaczorowskiego, przeto ukradkiem udają się do niego, aby nie narazić się Iremu na wypowiedzenie mieszkania, bo niekażdemu jest przyjemnem w obecnej porze wyprowadzać się.

Izak Leib Hammer w Orzechówce pobił Franciszka Chrobaka z powodu sprzeczki o dług, jaki żona pobitego zrobiła w sklepie Hammera na 6 ct. Pan Hammer lżył przytem Chrobaka od psów i złodziei, poczem przywoławszy dwóch żydów Leizora Krescha i Samuela Bluma, powalił razem z nimi Chrobaka na ziemię, związali mu ręce powrozem w tył, przymocowali do nich drążek i tak wlekli Ch. przez gminę, wreszcie zamknęli go do stajni. Czy wie o tem przynależny sąd? I dziwić się potem rozruchom antyżydowskim.

Adjunkt podatkowy w Kołomyi, Żupnik, *ein waschechter Jude*, znana w całem mieście szuja i karciarz, uciekł ukradłszy 10.000 złr. z powierzonej sobie kasy. Pisaliśmy już o tem — teraz wspominamy dla kompletu. I takim indywiduom powierza się u nas fundusze publiczne. Może ten wypadek otrzeźwi nasze władze skarbowe, ochotne szczególniej w ostatnich czasach do przyjmowania żydów do urzędów podatkowych.

Aron i Gitla Weinbergerowie w Uściu ruskiem w pow. gorlickim, pożyczyli od p. W. D. włościanina 2.000 złr. za co oddali mu za procent swój folwark w dzierżawę z tem, że z tego folwarku miał W. D. dopłacać im jeszcze 240 złr. rocznie. W sześć lat potem zrobili „plajtę“, ugodzili się z wierzycielami na 40% a wystawiony na licytację do masy konkursowej folwark, kupił dla Weinbergerów ich szwagier Markus B. z Tuchowa. Poczem dzierżawcę p. W. D. wyrzucili i sami sprowadzili się do folwarku a 2.000 złr. biednego Chrześcijanina utonęło w żydowskiej kieszeni. Pan W. D. winien sprawę oddać sądowi karnemu.

Stan zdrowia p. Juljusza Kossaka, prezesa „Koła literackiego“, jest — jak się dowiadujemy — obecnie pomyślny. Z prawdziwą przyjemnością możemy stwierdzić, że w krótkim zapewne czasie p. Juljusz Kossak podejmie dalej swoją artystyczną działalność.

Ruch muzyczny. W sali „Sokoła“ odbędzie się w d. 20 b. m. jak wiadomo koncert Aleksandra Michałowskiego z programem poświęconym wyłącznie Chopinowi. Produkcję tę podoba się wprawdzie afiszem nazywać koncertem Towarzystwa muzycznego z „łaskawym współudziałem“ p. Michałowskiego, ale skoro znakomity ten pianista ma grać sam jeden przez cały wieczór a udział Towarzystwa muzycznego ogranicza się tutaj tylko do sprzedaży biletów, mniemamy, iż postąpiliśmy logicznie, nazywając Michałowskiego w tem wypadku głównym koncertantem, a nie osobą biorącą „łaskawy współudział“ w wieczorze. Jakkolwiek ożywianie produkcyj muzycznych przez zapraszanie artystów zamiejscowych jest rzeczą bardzo pożądaną, zwłaszcza też u nas, gdzie zastęp sił zdolnych do występu estradowego ogranicza się do kilku zaledwie jednostek, nie wynika stąd jeszcze, aby rola impresarja, jaką sobie Towarzystwo w podobnych razach pozostawia, licowała z powagą i istotnem zadaniem tej instytucji. Cieszy nas, że Michałowski grać będzie w Towarzystwie, ale produkcji Towarzystwa bez żadnego zgoła udziału samego Towarzystwa nie rozumiemy, tak samo, jak nie łatwo usprawiedliwić przychodzi powód, dla którego instytucja wspomniana od dłuższego czasu usunęła produkcje swoje zupełnie z widowni publicznej i zamiast koncertów mających w myśl pierwotnego założenia „kształcić smak i krzewić zamiłowanie wśród szerokiego ogółu“ obecnie zadawala się spełnieniem nierównie skromniejszego zadania, bo urządzaniem wieczorów — li tylko dla grona członków swoich.

Bezwątpienia jestto zadanie znacznie dogodniejsze, choćby ze względu na krytykę, którą w ostatnim wypadku łatwiej uśpić przychodzi, ale czy przeobrażenie tego rodzaju godzi się z zadaniem instytucji zasilanej z funduszów publicznych i nie z samych prywatnych tylko, pozwolimy sobie nad kwestją tą położyć znak wysokiego powątpiewania.

* Ostatni numer *Echa muzycznego* zamieszcza studjum o Paderewskim pióra Wład. Żeleńskiego, zaś w fejletonie wiedeńskiego *Fremdenblattu* znajdą czytelnicy artykuł p. t.: „Aus Chopins letzten Lebensjahren“. Krzecz ostatnia atoli oscuje głównie na zbiorze listów przechowanych w Muzeum ks. Czartoryskich nowych szczegółów do życia mistrza naszego nie podaje wcale.

* Pod kierunkiem pianistki p. Tarnowskiej zawiązał się w Wiedniu chór, złożony z 25 głosów żeńskich, który wziął sobie za zadanie wykonywanie pieśni polskich podczas nabożeństw, odbywających się w obecności ziomków naszych.

* Londyński teatr „Comedy Theatre“ wystawił z powodzeniem operetkę p. t.: „Mylord sir Smith“ z muzyką Edwarda Jakubowskiego.

* P. Irena Abendroth zawiadomiła zarząd „Lutni“, że skutkiem zmiany zaszłej w repertuarze opery wiedeńskiej udziału w koncercie styczniowym przyjąć nie może. Również dórektor Mahler przesłał pismo przepraszające, że udzielenie urlopu artystce z powodu wspomnianego nie leży w jego możności. Wobec niespodziewanej tej przeszkody, udział w koncercie „Lutni“ obok pianistki p. Markiewiczówny nareszcie p. Teodor Lirchamer, który występami w Wiedniu, Gracu, Trjeście zjednał sobie wysokie uznanie tak, dla świetnego głosu barytonowego, jak i umiejętności śpiewu. Koncert odbędzie się dnia 30 stycznia.

Raut artystyczny, którego urządzeniem zajmuje się komitet przyjaciół kursów im. Baranieckiego, odbędzie się (na rzecz oddziału artystycznego tychże kursów) w niedzielę dnia 15 stycznia w sali sakiej. Będzie to na prawdę raut artystyczny; bo do wzbogacenia zapowiedzianej w programie loterji fantowej przyczynili się darami w szkicach i rysunkach tacy artyści, jak pp. Fałat, Jul. Kossak, Malczewski, Stanisławski, Tetmajer, Wodzinowski i Wyczółkowski. Będą także wygrane w kwiatach ciętych i bukietach. Nadto chór akademicki przyrzekł uświetnić zabawę swemi produkcjami, a p. Hock wystąpi z wyborowym koncertem muzyki wojskowej. Na zakończenie zapowiada komitet miłą niespodziankę, bliżej nieokreśloną. Zabawy, urządzane na rzecz kursów, mają za sobą tradycję nadzwyczajnego powodzenia; nie potrzebujemy więc zachęcać do udziału w raucie przypomnieniem, iż chodzi o przysporzenie środków instytucji, nader sympatycznej i pożytecznej, a rozwijającej się pomyślnie, głównie dzięki poparciu szerszych kół naszej publiczności.

„Za szczęściem“ Przybyszewskiego zabroniono. Cenzura policyjna zakazała wystawienia nowej sztuki scenicznej Stanisława Przybyszewskiego „Za szczęściem“, którą teatr krakowski przygotował był do wystawienia w przyszłym tygodniu.

Sprawa Kieszkowskiego. W onegdajszym nr. 7 *Słowa Polskiego* z 8 stycznia b. r. pojawiła się pogłoska o możliwej abolicji procesu karnego Czesława Kieszkowskiego. *Czas* z wiarygodnego źródła zapewnia, że wersja ta jest nieuzasadnioną, ponieważ prośba o abolicję została jeszcze w ciągu roku 1898 załatwiona odmownie.

Zarząd bursy nauczycielskiej (ul. nowo otwarta między Krupniczą a Rajską), na liczne żądania otwiera nowych kilka miejsc dla synów nienauczycielskich z dniem 1 lutego, po cenie 25 złr. miesięcznie, zapewniając troskliwą opiekę męską.

Ślub. W kościele parafjalnym św. Józefa w Podgórzu, odbył się dziś w sobotę o godzinie 7 zrana ślub pana Józefa Broszkiewicza, komisarza Policji, z p. Heleną Kraus. Młodej parze po odprawieniu Mszy św. pobłogosławił ks. Wcisło, proboszcz tamtejszy.

Lód. Komisja sanitarna miasta Krakowa orzekła, że lodu ze stawów w mieście położonych nad Rudawą, t. j. ze stawu Karmelitanek i tak zwanego „przegrzewacza“ brać nie można, ponieważ woda w tych stawach bywa zanieczyszczona. Natomiast starostwo ma wydać pozwolenie do brania lodu ze stawów okolicznych. Fizyk starostwa dr Bielański zaś zarządził, aby gminy okoliczne opatrzyły każdą furę lodu w certyfikat odpowiedni, zaś gmina miasta Krakowa, tylko taki lód będzie wpuszczać do miasta, którego fury opatrzone są w rzeczone certyfikaty, aby tym sposobem do miasta przywożono tyko lód czysty, a przynajmniej średniej jakości.

Zginęli dwaj chłopcy: Władysław Ruszkiewicz, uczeń III kl. ludowej, lat 10, blondynek, oczy niebieskie, wzrost średni — drugi Adam Bałuk lat 9, uczeń II klasy ludowej.

Obaj wyszli z domu we czwartek 12 b. m. o godzinie 8 rano z książkami do szkoły — w szkole nie byli.

Prosimy donieść na ul. Garbarską nr. 22, parter — mieszkanie rodziców. *Władysława Ruszkiewicz.*

Pomiędzy Wydziałem krajowym a lwowską Kliniką medyczną zapanowało w ostatnich czasach silne naprężenie stosunków. Przyczyną tego jest fakt następujący. Szef krajowego biura sanitarnego, członek Wydziału dr. Hoszard, wystosował przed kilkunastu dniami do dyrektora szpitala krajowego dr. Głowackiego pismo, w którem domaga się, ażeby sprawdził, czy profesorowie i asystenci, wykładający na klinikach, istotnie w ambulatorjach klinicznych leczą chorych prywatnie i przyjmują od nich honorarja i wezwał go, ażeby w sprawie tej przeprowadził ścisłe śledztwo. Otrzymawszy to pismo, polecił dr. Głowacki je skopjować i przesłać wszystkim profesorom. Profesorowie uczuli się treścią pisma dotkniętymi i odnieśli się bezzwłocznie do prezydjum Namiestnictwa z prośbą, ażeby ono pouczyło oddział sanitarny Wydziału kraj., iż podobne mięszanie się do spraw czysto prywatnej natury jest niewłaściwem.

Konflikt pomiędzy Wydziałem krajowym a profesorami lwowskich klinik — jak nam donoszą w ostatniej chwili—zaostrzył się do tego stopnia, iż spowodował ustąpienie dra Głowackiego z urzędu dyrektora krajowego szpitala powszechnego. Na razie zastępstwo dyrektora objął dr Czyżewicz.

Ku czci Brzozowskiego. W wczorajszej notatce z jubileuszu Brzozowskiego wspomnieliśmy o toaście Rodocia, jakim znakomity satyryk zakończył nasze dziś toast ten podajemy w całości:

Siedzi nas tu za tym stołem
Setka, to nie drwiny,
Chwalić Boga wszyscy społem
Mamy piękne miny.
Ten ma polot orła w chmurze,
Ów skrzydła gołębie,
Skąd? Bo serca mamy duże,
Bodaj choć na gębie.

Stąd i język nasz kochany
Rozserdecznion wielce
Bije w bratnie arabany
Topiąc żółć w butelce.
To i dobrze. Z krwią ślimaczą
Precz! Na bok morały!
Lepiej że nam serca skaczą
Niż gdyby spać miały.
Zatem kielich po kielichu,
Piosnka po piosence,
Kiep, kto serce w kieszeń wpycha,
Karolu! W twe ręce!

Ożywiona pogadanka przeciągnęła się do późnej godziny.

Zamach morderczy na żonę. Ze Lwowa piszą: Rozprawa jeszcze ciągle ogranicza się na przesłuchaniu poszkodowanej p. Mieczkowskiej, jako świadka. Z zeznań jej okazuje się, iż w owym krytycznym dniu 4 lutego 1898 udała się do męża do hotelu Krakowskiego, aby pogodzić się z nim, a że nie przyszło do tego, to tylko jest winą męża. Na zapytanie przewodniczącego, czy mąż podczas podobnych scen z nią zawsze drzwi zamykał, odpowiada świadek, iż bardzo często.

Radca Weinreb zadaje szereg pytań oskarżonemu, aby przecież coś stanowczego o katastrofie od niego dowiedzieć się. Ten jednak wciąż tylko kręci się w kółko, nie odpowiadając wprost na pytanie.

R. W. Czemu pan zaraz nie zdecydował się sprowadzić lekarza.?

Osk.: Bo pokój hotelowy był za mały. (!)

R. W. Aha!... Więcby się już trzecia osoba w nim nie zmieściła. (Wesołość.) A czemu pan służącemu, który pytał, czy zawołać doktora, odpowiedział, że nie potrzeba?

Osk.: Bo nie dostrzegłem żadnych potłuczeń.

R. W.: Tego spokoju pana wówczas zrozumieć nie mogę, przecież mógł pan przypuścić, że nastąpić mogło wstrząśnienie mózgu?

Prok. (do poszk.): Jakiego rodzaju były groźby pani męża przeciw jej ojcu?

Świadek: Odgrażał się, że go zabije, a jak przegra proces, to i siebie i ojca uśmierci.

Wielkie ożywienie i sensację w sali wywołało pytanie dra Greka, skierowane do oskarżonego.

Dr. Grek: A czemu pan w Abbazji czynił ofertę małżeńską matce panny P., prosząc o rękę jej córki i twierdząc, żeś jest nieżonatym i wolnym?

Oskarżony przeczy kategorycznie.

Zaraz potem podobną monetą odpłaca się dr. Sumper swemu przeciwnikowi, zapytując p. Mieczkowską, czy to prawda, iż podczas, gdy leżała chorą, jakiś młody człowiek przesiadywał ciągle u łoża jej boleści?...

Świadek: Stanowczo nie!... Nikt u mnie wówczas nie bywał oprócz lekarzy, zresztą u pp. Domiczków byłam umieszczoną w pokoju przechodnim i nikomu nie mogłam zabronić przechodzić tamtędy...

Na tem zakończono przesłuchiwanie p. Mieczkowskiej jako świadka i wezwano do rozprawy jej ojca p. Józefa Lackę, em. radcę dworu, obecnie adwokata w Tarnopolu.

O samej katastrofie dowiedział się świadek dopiero za drugim swym pobytem we Lwowie, i to z ust p. Domiczka. Wtedy dopiero wziął córkę na konfesatę. Ta opowiedziała mu rzecz całą, wyznając, że pierwiej tego uczynić nie mogła, bo mąż jej groził słowami: „ja cię uduszę“. Dowiedziawszy się wszystkiego dokładnie, p. Lacek widział się zmuszonym wnieść skargę, choć mu zięć groził, że go zabije.

Przew.: A czy pan przedsięwziął przeciw temu jakie środki ostrożności?

Św.: Miałem zawsze przy sobie nóż i bokser, ale sam byłbym mu nic tem nie zrobił, bo należę do tow. ochrony zwierząt. (Sensacja w sali, przewodniczący dzwoni).

Dr Sumper: Więc czemu pan wydał córkę za takiego zbrodniarza?

Świadek: A pan nie znasz usposobienia kobiet, jak się czegoś naprą?... Przecie tem Ewa Adama z raju wypędziła... Po przesłuchaniu p. Lacki, wprowadzają dalszego świadka Ferdynanda Mayera, portjera, z hotelu Krakowskiego. Po zaprzysiężeniu zeznaje, iż oskarżony obdarzał go wielkiem zaufaniem, mówił mu, że żona żąda od niego (Mieczkowskiego) 10.000, a potem 6.000 złr. i t. d. Na samą katastrofę zwrócił jego uwagę jakiś „szwabski głos“ wołający: „jeden (czy jedna) się zabił (a).“ Przybiegł co prędzej na miejsce wypadku, gdzie znalazł p. Mieczkowską leżącą bez ruchu i jęku, głową zwróconą do wiszącej tam lampy.

Później usłyszał z ust jej słowa: „To mój mąż“... Czy p. M. wołała wówczas „Piotrusiu“ ratuj mnie, tego już sobie nie przypomina.

Na zapytanie przewodniczącego, co, myślał wówczas o tych słowach „to mój mąż“, odpowiada filozoficznie, iż nic nie myślał.

Pan chorą zaniósł wraz z służącym Baranem do Nr. 36. Kiedy tam później wrócił — usłyszał między małżeństwem „miłującą mowę“. Zresztą p. Mieczkowski bardzo go „szanował“, a szacunek ten objawiał mu czasem cygarem, a przed odjazdem zwykłe koroną, choć reszta służby skarżyła się na skąpstwo oskarżonego.

Przewodniczący odroczył rozprawę na godzinę 4 popołudniu. Wśród tego rozegrała się ciekawa scena. Powstał prokurator i stanowczo zażądał przywołania do rozprawy p. Pohoreckiego i p. Oktawji Postempskiej na okoliczność, iż oskarżony w Abbazji, bawiąc tam jako człowiek żonaty, nie wahał się oświadczyć o rękę panny Postempskiej. Temu sprzeciwił się obrońca oskarżonego, twierdząc, iż dla toku rozprawy dowodowej taka błahostka *(sic!)* żadnego nie przedstawia zajęcia.

Wówczas powstał prokurator raz jeszcze i z całem oburzeniem zastrzegł się, jakoby usiłowane w tym wypadku dwużeństwo mogło być błahostką i tem energiczniej żądanie swoje ponowił (głosy: słusznie! słusznie!).

W Galicji w dziesięciu latach tylko 192 wypadków lichwy! W statystyce przestępstw popełnionych w ostatnim dziesięcioleciu w Austrji uderzającą jest nadzwyczaj mała liczba wypadków lichwy w nieszczęsnej przez 770.468 żydów zamieszkałej Galicji. Czyżby rzeczywiście niektórzy „obywatele“ w przeciągu dziesięciu lat tylko 192 razy tym zakazanym zajmowali się interesem?

W odpowiedzi na to pytanie pozwolimy sobie przytoczyć kilka ustępów ze znakomicie napisanej powieści Junoszy „Pająki“. Z życia, ta powieść wzięta i niestety co do słowa prawdziwa:

„Pan Lufterman swojemu przyszłemu zięciowi Lejbusiowi, synowi Hapergelda a wnukowi Gancpomadera, pokazuje na ulicy dwoje młodych ludzi mówiąc, że mu ich w posagu daruje.

— Doprawdy, nie rozumię, co chcecie powiedzieć...

— Widzisz, to jest młode małżeństwo; dopiero od czterech miesięcy on się nazywa mężem, a ona jego żoną. Ponieważ on ma niedużą pensję i trochę długów, a ona wcale nie ma żadnego dochodu, więc było im bardzo pilno się ożenić.

Lejbuś się roześmiał.

— Ja im do tego szczerze dopomogłem — rzekł Lufterman — pożyczyłem jemu dwieście rubli, żeby się zagospodarował. Dlaczego nie dopomódz takiemu młodzieńcowi? Dałem mu na bardzo dogodnych warunkach, na raty, po dziesięć rubli miesięcznie. On się zaraz ożenił, on jest szczęśliwy, sam mi mówił, że jest bardzo szczęśliwy; zapłacił już cztery raty akuratnie, lepiej niż bank. Przy pierwszej racie on się śmiał i był bardzo wesoły, przy drugiej i trzeciej nie był ani wesoły, ani smutny, przy czwartej wzdychał, przy piątej będzie stękał, a siódmej nie zapłaci. Ja wiem, że nie zapłaci.

— Dla czego?

— Dlatego, mój kochany, że z początku nic im nie było potrzeba; oni bardzo mało co jedli, a jak tylko on wrócił ze swojego biura, to chodzili sobie na spacer. Teraz nabrali lepszego apetytu do jedzenia, a niedługo będzie im potrzebna służąca. Ja im tego nie życzę, ale może się zdarzyć, że będzie im potrzebny doktór i aptekarz; wtenczas raty będą całkiem nieregularne i wtenczas ja z tych dwoje ludzi daruję.

— Jak nie będą mieli czem płacić? dziękuję za prezent.

— Jesteś jeszcze niedoświadczony i z przeproszeniem twego honoru, głupi. Niech ci się nie zdaje, że ten prezent nic nie wart. Sam się o tem przekonasz. Uważaj tylko na człowieka; my nie mamy innej ewikcji, tylko osobę; jeżeli osoba jest honorowa i ma to, co u nich się nazywa ambicja, to jest więcej warta, aniżeli hipoteka na pierwszym numerze. Taki, widzisz, wstydzi się, gdy przyjdziesz do niego upominać się, wsydzi się sądu, boi się kompromitacji, drży, jak gdyby miał febrę, gdy mu wspomnisz o komorniku. Wierz mi, Lejbuś, że na takich skrzypcach, jeżeli kto dobry muzykant, może ślicznie grać. Aj, aj, jak może grać! Tylko trzeba być artystą. Ja się spodziewam, że ty będziesz artystą.

— Uczyłem się trochę przy ojcu.

— Ładna szkoła, śliczna szkoła! Jonas Hapergeld, niech on zdrowo żyje, jest duży muzykant, on ślicznie gra, a dziadzio Gancpomader w swoim czasie był cały majster! Ho, ho, on wyrabiał!...

— Ja trochę słyszałem. Mądry dziadzio!

— Bardzo mądry. No, widzisz, ja już tobie podarowałem śliczną parę, dwa gołąbki, ty pilnuj ich, żeby ci niosły złote jajka. Masz wiedzieć, że on się nazywa Karol Prawdzic i okropnie się pyszni, że się tak nazywa. Co w tem jest, ja nie wiem; on powiada, że dla niego coś jest. Nam to wszystko jedno: Antek, czy Wojtek, niech mu będzie Michał, aby był z niego dochód.

— Dużo on wam winien?

— Tymczasem sto sześćdziesiąt rubli; ale za trzy lata ty będziesz miał u niego więcej, niż tysiąc rubli. Ty będziesz miał jego pensję, jego zarobek prywatny, jego ruchomości.

Ja nie przyrównywam, ale on będzie do ciebie przyczepiony lepiej, aniżeli mąż do żony, bo w małżeństwie może być rozwód, a ten stosunek nie ma rozwodu, on trzyma się do samej śmierci“.

Tak jest niestety! Taki stosunek najczęściej nie ma rozwodu — trzyma się do samej śmierci!

A iluż takich Prawdziców w Galicji liczymy?

Iluż tych biedaków wstydzących się sądu, bojących się kompromitacji i drżących na wspomnienie o sekwestratorze?

Co tu pomoże największa nawet czujność władz gdy w grę wchodzi nietylko lichwiarski dług, ale i ambicja biednego dłużnika.

Z Gorlic piszą do nas: W niedzielę dnia 15 b. m. odbędzie się na dochód Tow. „Sokół“ wieczór humorystyczny. Program wypełni humorysta p. Wojciech Wroblewski. Spodziewać się należy, że tak cel szlachetny, jakoteż dobra gra artysty, do licznego udziału publiczność miasta i okolicy zachęci.

Orkan w Wiedniu. Onegdajszej nocy szalała w Wiedniu burza a raczej orkan tak wielki, jakiego od lat tam nie pamiętają. Wyjący wicher tworząc dziki koncert burzliwej orkiestry zrywał mieszkańców na równe nogi. Wicher ten nie ustawał przez cały następny dzień, niszcząc i porywając po drodze wszystko, co tylko napotykał. Wskutek tego wydarzyło się kilka przykrych wypadków a ofiarą padło nawet jedno życie ludzkie. Przechodzący brzegiem kanału Dunaju koło Aspernbrücke młody mężczyzna, nieznanego nazwiska, rzucony został przez burzę po nad tamę do wody i utonął na miejscu. Kronika miejscowa notuje również bardzo wiele wypadków, gdzie ludzie powaleni byli na ulicy, lub ranieni spadającemi z góry cegłami i dachówkami. Szkody wyrządzone przez burzę są olbrzymie, zwłaszcza w poniszczonych doszczętnie drzewach w Praterze i w Parku miejskim, w zerwanych tu i owdzie dachach i w porozbijanych wystawach sklepowych.

Ku czci Mickiewicza w Petersburgu. Z Petersburga piszą do nas: Ostatni nr 344 *Swieta* zamieścił wiersz Mikołaja Sokołowa p. t.: „Przed pomnikiem Mickiewicza“. Autor wkłada w usta bronzowej postaci poety napomnienia, jakie Mickiewicz zdaniem p. Sokołowa Warszawie daje. Wiersz kończy się życzeniem, aby „nad głową poety słowiańskiego wspaniale zajaśniała zorza słowiańska“. — Podczas obiadu wydanego przez pisarzów rosyjskich na cześć Adama Mickiewicza nadeszły depesze od Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, którzy byli do Petersburga na tę uroczystość zaproszeni, ale przybyć nie mogli. W gronie uczestników wzięli udział także ks. Uchtomski i redaktor Stasiulewicz. Nastrój zgromadzenia był poważny. Pod koniec bankietu postanowiono wysłać depeszę do syna poety p. Władysława Mickiewicza. Telegram ten, który natychmiast wysłano, brzmiał: „Serdeczne pozdrowienie synowi wielkiego poety słowiańskiego, w dniu uczczenia jego pamięci przez Stowarzyszenie pisarzów rosyjskich. Chwała nieśmiertelnemu poecie“.

Curiosum. Istne *curiosum* przytaczają gazety rosyjskie. W księdze wydatków na utrzymanie szkoły w Zabrodziu, w gub. mohylowskiej, figuruje taka pozycja: „10 rubli otrzymał nauczyciel, a za niego, niepiśmiennego, podpisał się Mikita Gołopiatin“. Nauczyciel — niepiśmienny! widocznie pan ten uczył dzieci tylko czytania. Tacy ludzie w Rosji niosą kaganiec oświaty!

Psy mówiące przez telefon. Z Paryża donoszą: Co za czasy! Psy używają telefonów... Posłuchajcie tylko: Jedna z artystek komedji francuskiej, jadąc z willi, w której bawiła, na próbę do Paryża, zostawiła przypadkiem na stacji, z której wyjeżdżała, ulubioną psinkę. Przyjeżdża do Paryża i zrozpaczona udaje się do naczelnika stacji. Ten ją uspokaja:

— Mój kolega z pewnością przygarnął pani ulubieńca; znajdzie go pani z powrotem. Zresztą przekonamy się...

Idzie do telefonu, okazuje się, że tak jest rzeczywiście. Artystka wtedy błaga, aby ucho pieska zbliżono do telefonu, i mówi:

— Dick mój drogi, nie smuć się, nie niepokój; wrócę wkrótce, zabiorę cię; jesteś u dobrych ludzi...

— Ham! ham! ham! — odpowiada radosne szczekanie: psina poznała głos pani.

Mianowania. Minister sprawiedliwości zamianował sekretarzami sądowymi adjunktów: Józefa Jana Gacha z Kalwarji dla Krakowa, Kazimierza Walewskiego w Gorlicach dla Krakowa, i dra Jana Stołychwę w Niepołomicach dla Krakowa. Nominacje te ogłasza piątkowa *Wiener Ztg*.

Druga wieczornica z tańcami w „Sokole“, jaka odbędzie się dziś na wielkiej sali, zapowiada się doskonale. Obszerna sala, dobrze wentylowana, wyborna orkiestra 13 p. p., nadto bufet i restauracja doborowo zaopatrzona — oto, co przemawia do wymagań amztorów i amatorek tańców.. Wstęp dla

członków 60 ct. od osoby, dla gości wprowadzonych 1 złr. od osoby.

Cena pieczywa. Wczoraj rano odbyło się pod przewodnictwem prezydenta p. Friedleina posiedzenie w sprawie zniżenia cen pieczywa. Dotąd niezapadły uchwały, dalszy ciąg posiedzenia w sobotę. Przypuszczalnem jest, że białe pieczywo nie spadnie w cenie.

Niebezpieczny ptak. Organy policyjne w Krakowie przyaresztowały niebezpiecznego złodzieja Antoniego Kisielewskiego, liczącego lat 36, z których około 10 spędził w kryminale, karany za różne kradzieże. Między innemi, po ostatnio odbytej karze w Wiśniczu, rozbił sklep jubilerski w Oświęcimiu i dokonał kilka śmiałych kradzieży w Krakowie, w Chrzanowie i w Glinnikach pod Krakowem. Zabrane rzeczy wywoził do Prus i tam sprzedawał, bawiąc zaś w Prusach okradał tam rozmaite osoby i kradzione rzeczy przywoził do Krakowa, gdzie je pozbywał. Przy rewizji w jego mieszkaniu znaleziono wiele cennych przedmiotów, pochodzących z kradzieży.

Konkursy rozpisują: Prezydjum sądu obwodowego w Wadowicach dla Oświęcimia, a prezydjum sądu krajowego w Krakowie dla Radłowa na posady kancelistów z poborami 920 złr. Termin do 2 lutego. — Prokuratorja skarbu we Lwowie na posadę nadradcy w IV randze z terminem do 23 stycznia. — Prezydjum sądu obwodowego w Złoczowie na posadę radcy sądu krajowego przy sądzie obwodowym w Złoczowie w VII randze. Termin do 15-go stycznia.

HUMOR.

Z bardzo starej księgi życia.

Różnie bywa na tym świecie —
Tak swym wnukom dziaduś plecie —
Osobistość szanowana
Cierpi nieraz głód od rana,
A pieczeniarz stary, młody,
Byle furfant pierwszej wody,
Choć nim gardzą i tam i tu,
Jeść nie może już z przesytu.

Mama i metryka:

Z rozmów balowych młodzieży, wytrwale podpierającej ścianę salonu:

— Ciekawym, ile lat może mieć Iksówna?

— Według informacyj, zasiągniętych u jej matki, Iksówna ma lat 19.

— No, a ileż lat liczy sobie „młodsza“ jej siostra?

— Według informacji zasiągniętych w metryce, 21 lat.

Ostatnie depesze „Głosu Narodu“.

Lwów 13 stycznia. Najstarszy członek Wydziału krajowego dr Józef Wereszczyński, obchodzi 25-letni jubileusz pracy swojej w Wydziale krajowym. Pisma lwowskie poświęcają faktowi temu oddzielne artykuły.

Wieden 13 stycznia. Jeden z posłów niemieckich na podstawie najlepszych informacyj twierdzi w *Grazer Tagespost*, że Koło polskie myśli bardzo źle o egoistycznych Czechach. Z obecnym systemem, z którego Polacy nie odnoszą żadnej korzyści, postanawiają wszystkie „umiarkowane“ żywioły Koła polskiego zerwać i wyznaczyć Niemcom należne im stanowisko, jako współpracownikom w administracji państwa. (Informatorami tego Niemca jest oczywiście *par nobile fratrum* Madeyski & Rutowski. *Przyp. Red.).*

Madryt 13 stycznia. Rząd hiszpański polecił, aby znajdujące się jeszcze na Filipinach wojska hiszpańskie zachowywały najściślejszą neutralność na wypadek konfliktu Amerykanów z Filipińczykami.

Manilla 13 stycznia. Powstańcy filipińscy przeszkodzili Amerykanom do wyladowania przy ujściu rzeki Ilo-ilo.

Berlin 13 stycznia. Na czwartkowej sesji parlamentu niemieckiego minister wojny Gossler wypowiedział wielką mowę przy pierwszem czytaniu przedłożeń wojskowych. Gossler oświadczył, że manifest pokojowy cara wyklucza możliwość ataku ze strony Rosji. Niemcy mogą zaniechać dotychczasowej nerwowości i patrzeć w przyszłość z wielkim spokojem. Mimo to zdaniem ministra nowe kredyty są jeszcze prawie niewystarczające. Ostatnie wojny nauczyły, że głównym warunkiem zwycięstwa jest rozpoznać i przygotować podczas pokoju cele i środki wojny. Korpusy armij nie mogą być zbyt wielkie.

Dep. Richter żalił się, że organizowanie armji trwa bez końca. W wojskowe formacje wprowadzony jest niepokój szkodliwy. Czyż w Niemczech— woła mowca — na to, aby się porównać z Rosją mającą 125 miljonów mieszkańców wierci się w państwie bez końca wojskową śrubę. Manifest cara jest sentymentalnym porywem, niemieckie jednak reformy wojskowe wynikają jedynie z amatorstwa decydującego czynnika do coraz to nowych formacyj. Długi państwa tymczasem się zwiększają.

Berlin 14 stycznia. *Localanzeiger* otrzymuje telegraficzną wiadomość z Petersburga, podług której rozbiły się układy prowadzone między Watykanem a rządem rosyjskim w sprawie utworzenia nuncjatury w Petersburgu. Projekt powstał wówczas, gdy była aktualna kwestja rozciągnięcia opieki władz rosyjskich nad katolickiemi seminarjami duchownemi w Królestwie. Podczas pobytu Murawiewa w Paryżu, nuncjusz paryski i O. Charmetent, zwierzchnik Towarzystwa misyjnego „Oeuvre d'Orient“ wypracowali odnośny projekt.

Projekt ten, był carowi z początku sympatyczny. Rada ministrów oświadczyła się jednak przeciw nuncjaturze. Car przyłączył się do tej opinji i na odnośnym akcie dopisał następujące słowa: Sprawę tymczasowo należy odłożyć, jednak na opiekę rządową nad seminarjami katolickiemi należy nalegać.

Paryż 14 stycznia. Minister wojny Freycinet ustanowił komisję, mającą zająć się reformą sądownictwa wojskowego.

Rzym 14 stycznia. Ajencja Stefaniego donosi z Massawy: Wojska Ras Makonnena skorzystały z gęstej mgły w nocy z 11 na 12 stycznia i atakowały pozycje oddziałów Ras Mangaszy. Zostały jednak odparte z wielkiemi stratami w ludziach. Zdaje się, iż Ras Mangasza pomnożył swoją armję, jednakże nie w tak dalekiej jeszcze mierze, aby mógł ryzykować walkę w otwartem polu.

Sprawa Dreyfusa w Izbie francuskiej.

[Telegram oryginalny „Głosu Narodu“.]

Paryż 13 stycznia. Senat wybrał prezydentem Loubeta 218 głosami.

Posiedzenie czwartkowe Izby poselskiej rozpoczęło się mową prezydenta Deschanela. Deschanel oświadczył, że jego obowiązkiem jest bezstronne i uprzedzające postępowanie. Staraniem jego będzie zbliżyć do siebie wzajemnie deputowanych rozmaitych stronnictw, którzy często dlatego tylko się zwalczają, ponieważ się nie znają. Francja kocha swoją armję (burzliwe oklaski) ma także szacunek dla sprawiedliwości. W końcu Deschanel wskazał na niebezpieczeństwa złączone z obradami nad teraźniejszymi przedmiotami spornemi w polityce wewnętrznej, prosił przeto deputowanych, aby zachowywali spokój i zimną krew. (Oklaski).

Na żądanie prezesa gabinetu Dupuyego Izba postanawia przystąpić natychmiast do obrad nad interpelacjami w sprawie Quesnay de Beaurepaira.

Nacjonalista Millevoye wstępując na trybunę, stwierdza, że oskarżenie podniesione przeciwko pewnym urzędnikom sprawiedliwości przez Quesnay de Beaurepaira wywołały silne wzburzenie. Mowca domaga się wdrożenia śledztwa. (Tumult ze strony socjalistów). Mowca uważa za wykluczone, aby rewizja procesu Dreyfusa mogła być w obecnych stosunkach prowadzona w dalszym ciągu. Mowca odczytuje wśród wielkiego hałasu opublikowane w *Echo de Paris* oświadczenia Beaurepaira i żąda dyscyplinarnego ukarania sędziów, którzy jak się okazało są winowajcami. Jest rzeczą Izby i rządu przywrócić spokój umysłów.

Dep. Lasies (antysemita) oświadcza, że kraj ma już dosyć sprawy Dreyfusa. (Oklaski). Należy prowadzić szczere i dokładne śledztwo. W dalszym ciągu swej mowy atakuje Lasies prezydenta trybunału kasacyjnego Löwa oraz radców Barda i Manau. Wywołuje to burzliwe sceny w Izbie.

Prezes gabinetu Dupuy zastrzega się przeciwko wyrażeniu Lasiesa, że ci trzej sędziowie stanowią trifolium szubrawców.

Prezydent Deschanel przywołuje Lasiesa za to wyrażenie do porządku.

Lasies mówi dalej wśród hałasów i zarzuca stronniczość izbie karnej trybunału kasacyjnego i oświadcza, że kampania za Dreyfusem jest prowadzona za zagraniczne pieniędze, (Ponowny tumult).

Minister sprawiedliwości Lebret zabiera głos. Pierwszym obowiązkiem ministra jest zapewnić prawidłowy bieg sprawiedliwości. Ponieważ przeciw pewnym radcom izby karnej trybunału kasacyjnego podniesiono zarzuty, przeto minister zarządził śledztwo. Minister opowiada następnie, jak według urzędowego przedstawienia rzeczy, przedstawiają się stosunki Barda z Picquartem i oświadcza, że wskutek zeznań Beaurepaira zarządził rząd ponowne śledztwo.

Przemawiał następnie Cavaignac. Dyskusja zakończyła się uchwaleniem porządku dziennego zaakceptowanego przez rząd większością 423 głosów, przeciwko 125 głosom.

Paryż 13 stycznia. W dyskusji nad sprawą Beaurepaire'a zabierali głos kilkakrotnie ministrowie Dupuy i Lebret. Zwycięstwo rządu przy głosowaniu jest zwycięstwem.... Pyrrhusowem.

Rząd uchwalił wdrożyć śledztwo przeciwko byłemu ministrowi wojny Cavaignacowi w celu zbadania w jaki sposób Cavaignac przyszedł w posiadanie raportu kapitana Herque'a, na który się w mowie swojej powoływał.

Paryż 15 stycznia. Na posiedzeniu czwartkowem Izby bulanżysta Le Hérissé, nie mogąc zapomnieć zgnębienia Boulangera przez Beaurepaira, zawołał podczas mowy Millevoya, który domagał się, aby Barda postawiono przed sądem przysięgłych: „Ja jestem także przeciwko rewizji, ale dla Quesnay de Beaurepaira mam tylko z głębi duszy płynącą pogardę“.

Dep. Lasies, antysemita, wspomniał o sprawozdaniu kapitana gwardji Herque'a, który eskortował Picquarta do gmachu trybunału kasacyjnego i był świadkiem ohydnej stronniczości, z jaką sędziowie obchodzili się z więźniem. Śledztwo w tym kierunku wdrożone było nieszczere. Dlaczego nie odczytuje się tutaj raportu kapitana Herque? (Hałas i niepokój).

Dep. de Mahy: „Znam kapitana Herque; ten człowiek byłby niezdolny do kłamstwa“.

Dep. Lasies obwinia Arissona, że dał dymisję pewnemu prefektowi, który ośmielił się zawiadomić rząd skąd płyną pieniądze na agitację dreyfusowską.

Minister sprawiedliwości Lebret oświadcza, że kapitan Hergue codziennie zdaje raporty gubernatorowi wojskowemu Paryża.

To że Bard nazywał Picquarta „pułkownikiem“, to się wydaje ministrowi naturalnem, bo jenerałowie nie przestawali także nazywać Picquarta pułkownikiem a kapitan Herquae także otrzymał od przełożonych rozkaz tytułowania Picquarta pułkownikiem. (Poruszenie).

Dep. Lasies domaga się, aby przerwać posiedzenie i sprowadzić tu ministra wojny, aby się wytłomaczył.

Dep. Cassagnac oświadczył, że republikanie wytworzyli tę zgniłą sytuację. Oto, coście zrobili z wolności, coście zrobili z finansów! (Głosy: Sedan!). Kiedy się pomyśli o Faszodzie, niema się prawa mówić o Sedanie. Są inne Sedany, niż ten wojskowy w r. 1870.

Dupuy przemawiał przeciwko Cassagnacowi, którego nazwał mężem zamachów stanu. Armja i naród nie będą mu jednak posłuszne.

(Dep. Baudry d' Asson przerywa ministrowi). Wszystko co mogę uczynić dla pana Baudry, jest to, że wypiję szklankę wody za jego zdrowie...... Minister się tłomaczył dalej, że ma szacunek dla armji, ściśle trzyma się ustaw, wielbi wolność i oświadcza, że rozpoczęto trzecie śledztwo w sprawie nadużyć w Trybunale kasacyjnym, w którym wszyscy interesowani będą mogli zeznawać. Zakończmy jak najprędzej sprawę Dreyfusa. Dajmy krajowi wreszcie pożądany spokój, zajmijmy się ważnemi sprawami, które nas przedewszystkiem muszą zajmować. (Oklaski).

Dep. Cavaignac, były minister wojny, zabiera głos. Izba przyjmuje go owacyjnie. Posłowie wznoszą okrzyki: „Vive Cavaignac!“ Cavaignac mówi krótko i po męsku: „Sprawiedliwości dzieje się krzywda. Sędziowie kasacyjni wobec Picquarta okazują zdumiewające i podejrzane względy. (Hałas. Socjaliści wymyślają Cavaignacowi). Co do mnie, dowiodłem, że nie cofnę się przed niczem, aby zadośćuczynić sprawiedliwości (sprawa Henryego). Należy uczynić zarządzenia, któreby zapobiegły stronniczości sędziów i zapewniały szacunek dla sędziowskiej władzy. W końcu domaga się mowca odczytania raportu kapitana Herque.

Minister Lebret oświadcza, że gotów jest raport odczytać. Socjaliści podnoszą piekielny hałas, korzystając z niego Lebret zmyka z trybuny. Antysemici kolejno protestują przeciwko temu tak gwałtownie, że Lebret wraca na trybunę.

Odczytuje on ustępy z raportu kapitana Herque. Raport opisuje, w jaki sposób fetowany jest Picquart przez sędziów trybunału kasacyjnego grogiem i z jakiemi owacjami jest przez nich cytowany, oraz zawiera powtórzenie następujących słów Picquarta: „Radca Bard jest moim przyjacielem. Kocham go serdecznie. Ja jestem jego głównym świadkiem“. (Sensacja).

Rząd zgodził się tylko dlatego na zwykły porządek dzienny, bo widział, że wobec przebiegu dyskusji nie znajdzie większości dla korzystnego dla siebie motywowanego porządku dziennego. Za zwykłym porządkiem dziennym głosowało wielu przeciwników rewizji, między innemi i sam Cavaignac. Było to więc tylko pozorne zwycięstwo.

Reorganizacja gabinetu hr. Thuna.

[Telegram własny „Głosu Narodu“]

Wiedeń 13 stycznia. **Gabinet hr. Thuna ma być zreorganizowany jako ministerstwo parlamentarne, a to mianowicie przez powołanie jednego z Polaków na stanowisko fachowego ministra, oraz jednego z Czechów, jako ministra bez teki (ministra rodaka). Jako kandydatów wymieniają: Pinińskiego i Bobrzyńskiego z Polaków, a Herolda, Pacaka i Zedwitza z Czechów. Piniński powołanyby był na stanowisko ministra sprawiedliwości; gdyby zaś nie chciał opuścić stanowiska w Galicji, ofiarowanoby Bobrzyńskiemu tekę ministra oświaty.**

Szarady.

Ułożył Józef Chmielewski.

I.

Pierwsze i **drugie** w cukierni zjadacie,
Albo też w domu sami wyrabiacie,
Lecz niech ogonek utraci środkowa —
Masz rzeczy, w których i pierwsze się chowa.

II.

Pierwsze litera, a **drugie** i **trzecie**
Bywa u statków, jeśli wiedzieć chcecie.
Pierwsze i **trzecie** kupcy dobrze znają:
Trzecie znów słychać, gdy ludzie coś dają.
Do **pierwszej** z **drugą** uchodzi dziewica,
Lub młodzian, gdy ich świat ten nie zachwyca.
Drugie i **pierwsze** przeróżne ma cechy:
Widać tam smutek lub wyraz pociechy.
Całość — osoba, zna ją wielu ludzi;
Ona, jak mąż jej, cześć powszechną budzi.

Rozwiązanie szarad z Nr. 6.

Czę-sto-cho-wa. — Rę-kaw-ka.

Dobre rozwiązanie szarad nadesłali pp.: St. Ropski z Krakowa. Wł. Jech z Wojnicza, L. Zubrzycka z Krakowa (II). M. Zieleniewska i W. Poprawska z Kłaja, M. Pers z N. Sącza, T. Mitschka z Bochni, J. i K. Migdałek z Wieprza, J. i M. Farbowscy ze Stróż. ks. R. Boryczewski ze Sromowic W., K. Tchorzewski z Krakowa Stowarzyszenie katol. młodzieży rękodz. „Praca“ z Krakowa, J. J. Peszko, Kańka, W. Tomaszewska, K. Gajewski z Łobzowa. A. Mackiewicz z Krakowa. S. Greczek z Krakowa, Fr. Klotz z Podgórza, Junko Lunin z Wieliczki, J. Kwapniewski z Rozwadowa. T. Knopf z Ropczyc, St. Strachowski z Krakowa, St. Kotasék z Dobczyc, L. Grabowska z Krakowa. H. Zabawska z Rzeszowa, L. Ramult z Jeżowa (II). J. Kosman z N. Sącza, Wł. Jagielski z Podgórza. Niewiadomska z Kaźmierza. A. Mally z Gorlic, M. Zubic z Krakowa, I. Mikulski z Jaworzna, K. Rawicz, A. Fiderkiewicz z Biecza, B. Pauli z Krakowa, St. Korczowski z Krakowa. Fr. Cieślik z Grzegórzek, K. Trzęsiński z Krakowa. Fr. Sigmund z Krakowa, A. Riess z Krakowa, A. Niedziałkowski, T. Golachowski z N, Sącza, J. Bukowski z Krakowa. St. Góra z Krakowa, J. Januszewska z N. Sącza. J. Piętka z Krakowa. A. Bunzel z Krakowa, Ks. Węglarz ze Zgłobienia, M. Kosobucka z Krakowa, M. Duławska, L. Feherpatsky z Mielca, Münnich z Krakowa, M. F. Mazanek z Krakowa, W. Szyjkowa z Półwsia Zwierzynieckiego, M. Lukowski z Wadowic, I. Szymański z N. Sącza, M. M. Chorkówki, M. Bortnikowa z Krakowa, S. C. z Krakowa, Podczaski z Krakowa, W. Rosiek z Wieliczki, A. Kostka, Kretschmer.

(C. d. n.

Nagrodę za dobre rozwiązanie szarad otrzymał I. Mikulski z Jaworzna.

Nagrodę za rozwiązanie szarad, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, Redakcja oznaczy w poniedziałek,

Rozwiązanie należy nadsyłać z miasta najdalej do czwartku, z prowincji do piątku.

Nagrodę otrzymać może tylko prenumerator „Głosu Narodu“.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 13 stycznia.

Obroty dzisiejszego targu były bardzo ograniczone, ponieważ konsumpcja ze względu na słaby odbyt mąki, kupuje tylko na najkonieczniejsze potrzeby. Ceny, które dotąd dość stale się trzymały, dzisiaj obniżyły się cokolwiek. Odbyt z wyjątkiem najcelniejszych gatunków pszenicy i żyta wogóle słaby.

Płacono:

Pszenica biała	złr.	9·10	do	9·55
„ czerwona	„	9·15	„	9·60
„ żółta	„	9·—	„	9·55
Żyto	„	8·20	„	8·70
Jęczmień browarny	„	6·75	„	7·50
Na krupy.	„	6·25	„	6·50
Owies	„	6·30	„	6·60
Rzepak	„	11·—	„	11·75

Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Konkursy rozpisują: Wydział powiatowy w Dąbrowie na stypendjum w kwocie 50 złr. z fundcji stypendyjnej powiatu dąbrowskiego dla ucznia pochodzenia włościańskiego z pow. dąbrowskiego, oddającego się nauce przemysłu, lub rolnictwa w szkołach krajowych. — Rady szkolne okręgowe w Zbarażu, Nowym Sączu, Mościskach, Bóbrce, Tarnopolu, Kołomyi i Starem mieście na kilkadziesiąt posad nauczycielskich z terminem do 25 stycznia.

Konkursy rozpisują: Rada szkolna okręgowa w Białej na posadę kierownika szkoły ludowej 2-dwuklasowej w Komorowicach z poborami 450 złr. i pomieszkaniem. Termin do 25 lutego. — Zwierzchność gminy Przemyślany na posadę sekretarza z poborami 400 złr., wakującą od 1-go lutego. — Sąd obwodowy w Nowym Sączu na posadę dozorcy więźniów z poborami 375 złr. i mundurem. Termin do 15 lutego — Sąd powiatowy w Baligrodzie przyjmie zaraz djetarjusza za dziennem wynagrodzeniem 70 ct.

Konkursy rozpisują: Prezydjum sądu obwodowego w Nowym Sączu na posadę sędziego powiatowego w Krościenku z terminem do 14 stycznia. — Sąd obwodowy w Tarnowie na posadę sekretarza sądowego z terminem do 14 stycznia. — Sąd obwodowy w Sanoku na posadę sędziego powiatowego w Dynowie z terminem do 15 stycznia. — Sąd obwodowy w Samborze na posadę sekretarza sądowego z terminem do 18 stycznia. — Sąd krajowy w Czerniowcach na posadę sędziego powiatowego w Zastawnej z terminem do 15 stycznia. — Namiestnictwo na dwie posady koncepistów sanitarnych w X randze z terminem do 20 stycznia i na posadę kasjera przy kasie prowentowej w Krynicy w X randze. Termin do 15 stycznia.

NADESŁANE.

Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też żadnej za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.

WILKE COLLINS.

DZIEWCZYNY BEZIMIENNE.

27 **ROMANS SENSACYJNY.**

(Ciąg dalszy)

— Ojczulku — szeptała mu zaniepokojona — nie sądzisz przecie, żeby p. Clare miał „nie“ powiedzieć.

— Nie mogę nic przewidzieć; na razie mam nadzieję, że się zgodzi.

— Nie ma przecież powodu, dla któregoby się miał wahać? — Czy może jest? Pytała o to po cichu, podczas gdy on brał laskę i kapelusz i udawał, że pytań nie słyszy. Nie wiedząc, czy ma je powtórzyć, czy nie, odprowadziła go przez ogród, aż ojciec stanął i odprawił ją do domu.

— Nie masz nic na głowie, moje dziecię — rzekł. — Słońce tak pali, nie wychodź bez kapelusza.

Rzekłszy to, poszedł dalej, a ona niespokojnie za nim patrzyła. Nie wywijał tym razem laską, jak zwyczajnie i nie zważał wcale na szkockiego jamniczka, który naszczekując biegł za nim. Był widocznie bardzo zamyślony. Co to wszystko miało znaczyć?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Gdy Magdalena z powrotem przez przedpokój przechodziła, uczuła rękę na swem ramieniu, a obejrzawszy się, zobaczyła przed sobą siostrę. Nim była w stanie zadać jej pytanie, — Nora zmieszana cała zagadnęła ją:

— Proszę cię o przebaczenie — bardzo cię proszę, daruj mi.

Magdalena spojrzała na nią ze zdziwieniem. Wszelkie wspomnienia ostrych słów, które padły w ów pamiętny ranek w lasku, wobec tak ważnej sprawy, jak obecna, uleciały jej z pamięci, jakby żadnej sprzeczki nigdy między niemi nie było.

— Tobie przebaczyć? — zapytała — co ci mam przebaczyć?

— Słyszałam o twych nowych widokach — mówiła Nora dalej tonem pewnej powierzchownej pokory, która wcale przyjemnego wrażenia nie robiła — i uważam za konieczne sprawę tę między nami wyrównać, czuję również konieczność wynurzenia ci, że całe to zajście sprawia mi wielką przykrość. Zechcesz o tem zapomnieć?

Chciała jeszcze coś mówić, urwała jednak nagle, oblicze jej schmurzyło się napowrót i wybiegła po schodach na górę,

Nim Magdalena zdołała pójść za nią, otworzyły się drzwi bibljoteki i wyszła z nich panna Garth, aby dać wyraz uczuciom odpowiednim do okoliczności.

Od niej nie słyszała Magdalena takich ceremonjalnych słów. Nora musiała zwalczać usprawiedliwioną nieufność panny Garth ku Franciszkowi.

Panna Garth nie miała wcale ochoty porzucać stanowisko swej powagi w sprawach domowych.

— Proszę cię, przyjmij moje powinszowania i usprawiedliwienie. Gdym cię w altanie niespodzianie zdybała na pocałunku, danym panu Clare, nie miałam najmniejszego pojęcia, że wypełniasz tylko życzenia twoich rodziców. Zdania swego w tej sprawie nie wypowiadam. Żałuję tylko mocno, żem wam mogła być chwilową przeszkodą w wiernej miłości i proszę mię w przyszłości uważać za łatwo dającą się usunąć zaporę. Obyś była szczęśliwa!

Po tych słowach usta jej przymknęły się a oczy spoglądały w przyszłość tego stanu małżeńskiego z smutno proroczym wyrazem.

Gdyby w tej chwili Magdalena nie była poważnie zaniepokojona, dałaby prawdopodobnie odpowiedź zgryźliwą. Tak, jak sprawy stały — panna Garth wywołała u niej tylko niesmak.

— Dobrze, dobrze! — pomyślała sobie i pobiegła za siostrą na górę.

Zapukała do drzwi Nory, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi. Próbowała otworzyć, drzwi były jednak z wewnątrz zamknięte. W innym wypadku nie dałaby Magdalena za wygraną, lecz wołałaby tak długo i tak głośno, ażby cały dom poruszyła i cel swój osiągnęła. Ale wątpliwości i niepokój już jej obecnie sił pozbawiły. Poszła tedy cicho na dół i zdjęła swój kapelusz ogrodowy z wieszadła w przedpokoju.

— Mówił mi, abym wzięła kapelusz — rzekła sama do siebie w przystępie dziecinnego posłuszeństwa, — którego tak jej nieraz brakowało.

Z ogrodu chciała widzieć ojca powracającego. Czekała pół godziny, czterdzieści minut, nakoniec posłyszała jego głos. Pan Vanstone wołał na psa: — Pójdziesz! — Pobladła.

— Oj! źle! — szeptała.

Za małą chwilę ujrzała ojca przed sobą. — Wracał prędko, z pochyloną głową, jamniczek zaś, który popadł w niełaskę, wlókł się ospale za nim. Te złe znaki zaniepokoiły ją do tego stopnia, że już znowu naturalną swą energię odzyskała i była przygotowana na najgorsze rzeczy. Pobiegła ku ojcu.

— Z oblicza twego czytam złe wieści — rzekła po cichu. — Zatem pan Clare okazał się, jak zwyczajnie bez serca i powiedział: nie?!

Ojciec spojrzał nagle na nią surowym wzrokiem, do jakiego nie była przyzwyczajona: przestraszona cofnęła się w tył.

— Jeśli kiedy jeszcze będziesz mówić o naszym starym przyjacielu i sąsiedzie — Magdaleno — rzekł — to pamiętaj, że póki żyć będę, będę wdzięczny p. Clare, za to, do czego mnie swemi wyjaśnieniami skłonił.

Po tych znaczących słowach zatrzymał się, a zauważywszy jej przestrach, starał się to niemiłe wrażenie złagodzić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Ehrenberg. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.